

II 8.416.108

# PODAREK

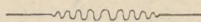
OD

## ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA

DLA GRZECZNYCH I PILNYCH DZIECI

NAPISAŁ

JAN KRAWECKI.



Z PIĘCIOMA RYCINAMI KOLOROWANYMI.



W RZESZOWIE

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. A. PELARA (H. CZERNY)

1887.

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020642240



II 1.416.108



MONIKA BASZKOWSKA K. I.

Z DRUKARNI J. A. PELARA (H. CZERNY) W RZESZOWIE.

1998 K 446 / 19

Przewielebnemu Ks. Kanonikowi

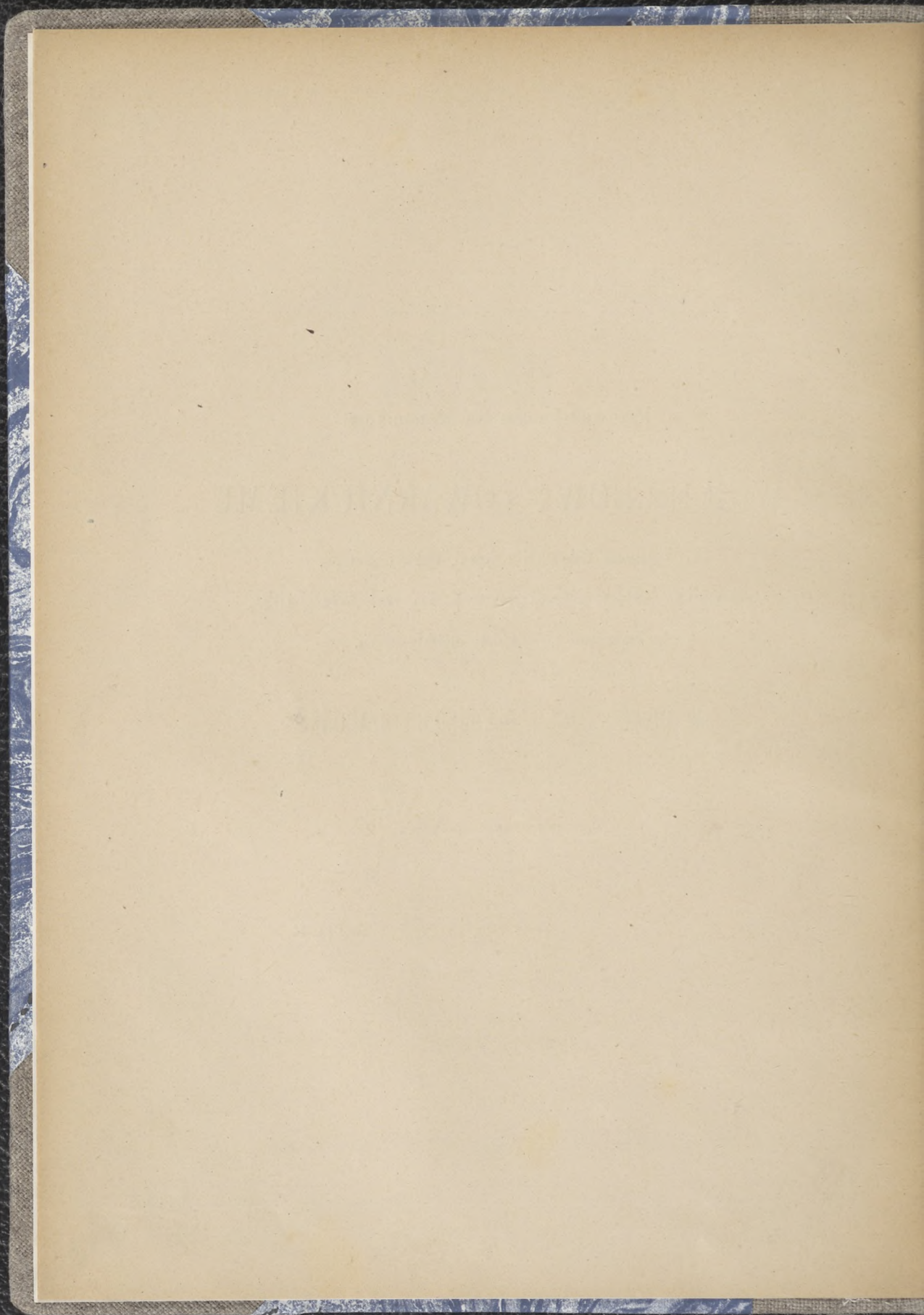
## WOJCIECHOWI TOWARNICKIEMU

Wysłużonemu Proboszczowi z Cerekwi, diecezji Tarnowskiej,  
Kuratorowi fundacyi stypendyjnej ś. p. Dra Jana Towarnickiego,  
Dobrodziejowi i Przyjacielowi młodzieży szkolnej,

W DOWÓD CZCI I GŁĘBOKIEGO SZACUNKU

skromną tę pracę poświęca

AUTOR.





## PRZEDMOWA.



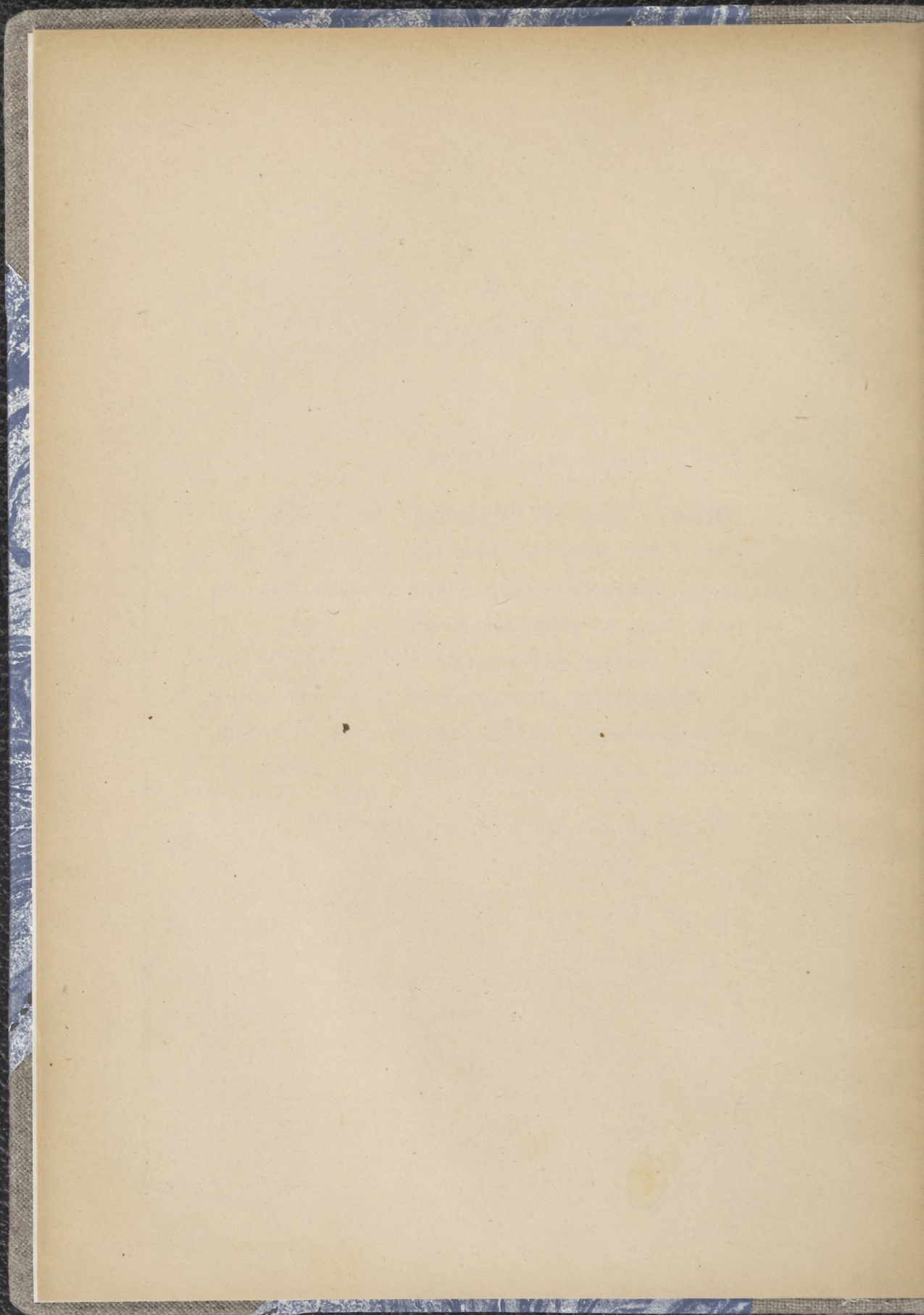
### *Kochane Dzieci!*

Ofiaruję wam tę książeczkę, zawierającą powiastkę o św. Mikołaju, biskupie Mirreńskim, urozmaiconą opisem zwyczajów, jakim grzeczna dziatwa na dzień tego świętego się cieszy.

Nadto dodaję życzenie, aby każdy dzień w waszém młodziutkiém życiu przynosił wam dużo wesołych niespodzianek, wzbogacających serce i rozum, a rodzicom żywą wiarę w piękną waszą przyszłość.

W Rzeszowie, we wrześniu 1886 r.

*Autor.*



## ROZDZIAŁ I.

### MŁODOŚĆ ŚW. MIKOŁAJA.



Na południowym wybrzeżu Małej Azji, naprzeciw wyspy Rodus, leży kraina, zwana niegdyś Licją. Kraina ta jest górzystą; przebiegają przez nią od północy ostatnie kończyny gór, zwanych Taurus. Udaje się tu wino, zboże, szafran, a szlachetne cedry i jodły o wysokich i prostych pniach były ozdobą kraju. Licja pozostawała niegdyś pod panowaniem Persów, później zajęli ją Rzymianie. Jakiś czas rządziła się sama i była wolną. Obecnie zostaje pod rządem Turków.

Dawni Licjczycy byli ludem spokojnym i pracowitym. Pozostałe po nich pisma, podobne do pisma greckiego, świadczą, że posiadali pewien stopień oświaty; odznaczyli się w sztuce rzeźbiarstwa i budownictwa.

Najważniejsze miasta w Licji były: Mirra, stolica kraju, Xantus, Patara, Pinara, Olimp i Tlos.

Licjczycy należeli niezawodnie do tych ludów, które pierwsze przyjęły wiarę chrześcijańską i przetrwały szczęśliwie burzliwe czasy prześladowania.

W Patarze żyli bardzo dawno, bo jeszcze w trzecim wieku po narodzeniu Chrystusa, enotliwi i bogobojni rodzice. Już w późnym wieku życia doczekali się synka, któremu dali na chrzcie św. imię Mikołaj.

Matka cieszyła się bardzo jedynaczkiem i prosiła Boga, aby pozwolił jój wychować go w pobożności. A że sama

wiodła życie cnotliwe i martwiła ciało postami, więc też i Mikołajka skazywała także we środy i piątki na post.

Chłopczyk przecież pięknie wyglądał i wzrastał na pociechę rodziców.

Gdy podrósł, zaprowadził go ojciec do szkoły. Mały chłopczyzna o jasnych włoskach i ujmującej twarzy spodobał się nauczycielowi i wnet pozyskał sobie jego miłość. W czasie nauki siedział spokojnie i uważał na każde słówko nauczyciela. Nauka trafiała mu do serca i głowy. Sąsiedzi z lubością spoglądali na niego i przepowiadali rodzicom, że będzie kiedyś wielkim człowiekiem.

Przed rozpoczęciem nauki w szkole wstępował do kościoła i modlił się gorąco. Już wtedy dawał ze siebie piękny przykład pobożności swym rówieśnikom. Nic bowiem tak nie rozrzewnia i nie cieszy, jak widok chłopczyka lub dziewczynki, modlących się w kościele i uczących się pilnie w szkole.

W przedsionku kościoła siadywał zwykle stary dziadek. Ten zwrócił na się uwagę małego chłopczyzny, który go każdym razem, gdy wchodził do kościoła, uprzejmie pozdrowiał.

Gdy raz klęczał na stopniach ołtarza, przyszła mu do głowy szczęśliwa myśl, że i on może dziadkowi coś dobrego wyświadczyć. Na drugi dzień raniutko, gdy matka jak zwykle rozdała domownikom śniadanie, Mikołajek zjadł mniejszy kawałek chleba, a resztę ukradkiem schował do kieszeni i wyszedł. Biegł prędko w stronę kościoła, a jakaś radość ogarnęła go, gdy ujrzał przed kościołem swego znajomego dziadka.

— Mój dziadku! — wyszeptał cicho — przyjmcie tę odrobinę z mojej części śniadania i nie gniewajcie się, że wam tylko tyle będę każdego razu przynosił.

Dziadek rozplakał się, patrząc ze zdumieniem na małego dobrodzieja i powiedział:

— Niech cię Bóg ma w swój łasce i kieruje twymi krokami w życiu!

Odtąd Mikołajek i dziadek byli najlepszymi przyjaciółmi, a nikt może nie wiedział, na czym się ich przyjaźń opierała.

Rodzice Mikołajka mieszkali na końcu miasta, gdzie mieli posiadłość, składającą się z dużego domu mieszkalnego i budynków gospodarskich. Za domem rozciągało się pole i graniczyło z małym laskiem. Mikołajek biegał prawie codziennie do tego lasku z dziećmi sąsiadów, biorąc ze sobą ukradkiem kawałki drzewa i narzędzia stolarskie. Wysiadywał tam godzinami.

Gdy już wyrósł na pięknego młodzieńca i ukończył nauki, rodzice zaczęli się naradzać, do czego mają syna przeznaczyć.

— Niech się chowa w domu — rzekła matka. — Jest jedynakiem, to będzie miał z czego żyć, a po naszej śmierci obejmie ojcowiznę i będzie, jak my, gospodarował. Wychowałam go w bojaźni bożej, to i jemu na świecie może być dobrze. Niech więc zostanie przy nas, aby przy śmierci miał nam kto oczy zamknąć.

— Moja kochana! — odparł na to ojciec. — Ja przepędziłem młodość na morzu; na okręcie wychowałem się i tam nauczyłem się modlić do tego, który spienione bałwany morskie uśmierza, który kołyszące się okręty przyprowadza do równowagi. Nieraz widziałem na pokładzie okrętu śmiałków, co bezbożnymi mowy psuli innych i odbierali im wiarę w opatrzność Boga. A gdy powstała burza, gdy okręt jak bryłka podskakiwał na piętrzących się falach, gdy śmierć groziła wszystkim, ten właśnie śmiałek, co przed chwilą najwięcej dowodził, pierwszy padał na kolana i szukał w modlitwie ratunku. Dlatego życzyłbym sobie, aby i mój syn wstąpił do służby na okręcie.

— Mężu! — odparła lekko małżonka — gdybyśmy potrzebowali naszego Mikołajka wysłać na poprawę, gdybyśmy go przez trwogę śmierci mieli uczyć pobożności, to byłby

to dobry sposób, aby go groźne fale morskie skruszyły i obudziły w nim uczucie religijne. Ale przy naszym staraniu o jego dobre wychowanie, nie potrzebujemy się, Bogu dzięki, uciekać do tego środka. Ciebie nieszczęście rodziców i sierotwo popchnęły do służby morskiej — to co innego. Dlatego twoja myśl nie trafia mi do przekonania. Ale oto idzie — ciągnęła dalej, wyglądając oknem na otwarte pole — twój brat Mikołaj. On nam poradzi, bo to przecież chrzestny ojciec Mikołajka, a mądry w piśmie św. i najstarszy śpiewak w kościele.

Zaledwie domówiła tych słów, wszedł do izby pożądany gość i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! A o czém to rada, moi przyjaciele?

— Na wieki wieków! — odrzekli małżonkowie. — Trapimy się, bo nie wiemy, co mamy zrobić z Mikołajkiem. Chłopak wyrasta, a jeszcze nie postanowiliśmy, jaki mu obrać zawód.

— Nie frasujcie się! Jam już dawno o tém pomyślał i właśnie przychodzę do was w tej sprawie. Przecież wam nie tajno, że chłopiec już od małości zaprawił się do modlitwy, że kościół to najulubieńsze dla niego miejsce zabawy. Może nie wiecie, że z niego już od dawna wielki dobrodziej. Wszakże on każdego dnia dzieli się kawałkiem chleba z dziadkiem pod kościołem, a gdy odemnie dostanie grosz, to zaraz go rzuci do skarbony dla ubogich. Bóg go wybrał dla chwały swojej i przeznaczył do wielkich czynów. Oto teraz, gdy wrócałem z pod lasku, widziałem, jak klęczał przed ołtarzykiem, który sobie z drzewa wyźłobił. Cieszcie się więc, że macie takiego syna; idźcie za jego wolą i przeznaczcie go na usługi kościelne. On nie do światowej, ale do boskiej pracy stworzony.

— Przemawiasz jak z księgi, kochany Mikołaju! — rzekli małżonkowie. — Jakże moglibyśmy sprzeciwiać się twój radzie! Oddamy go chętnie w opiekę zacnych księży;



5x

BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA



niechaj pod ich okiem wykształci się w naukach duchownych, a potem wyświęci na księdza.

Właśnie pod koniec tej rozmowy nadszedł Mikołajek, a gdy zobaczył poważne oblicza wszystkich, zmieszał się nieco. Ale wnet rozpogodził czoło i zawołał jakby w natchnieniu:

— Serce moje zgaduje, o czém radziliście. Bóg wysłuchał moich modłów, a ciebie, mój stryju, przysłał tu, abyś jak anioł zwiastował rodzicom tę wesołą nowinę. Wiem, że postanowiliście przeznaczyć mnie na księdza. Odgadliście wolę Boga i moje życzenia!

Wkrótce po tej naradzie familijnej ze łzami w oczach żegnała matka ukochanego jedynaka, a ojciec, ocierając ukradkiem rękawem zwilżone oczy, wyprowadzał go z domu.

Przyjaciele i sąsiedzi przyszli do zafrasowanej rodziny na pożegnanie, życząc przyszłemu uczniowi do stanu duchownego, czyli klerykowi, błogosławieństwa w nowym zawodzie.

---

## ROZDZIAŁ II.

### ŚW. MIKOŁAJ W SUKNI KAPŁAŃSKIEJ.

W maleńkiej izdebce siedzi poważny młodzian nad wielką księgą i pilnie zagłębia się w czytaniu. Od czasu do czasu pełne ognia jego oczy oderwą się od księgi i spoczną to na ołtarzyku, umocowanym na ścianie, to na obrazie, przedstawiającym Chrystusa wśród dzieci.

Suknia kapłańska pięknie przystaje do jego smukłego ciała, a zdrową anielskiej dobroci twarz zdobi porastająca broda. Na wyniosłym czole przebija się głęboki rozum i maluje zamyślenie.

Ale któż to ten młody kleryk? — To Mikołajek —  
jedynak zacnych rodziców z Patary — to przyszły kapłan —  
to najpobożniejszy i najpilniejszy uczeń św. nauki o Bogu.

Mikołaj, zamykając wreszcie starą księgę, stanął  
w oknie, do którego promyk słońca zaglądnął i różowym  
blaskiem oblał jego ulubiony ołtarzyk, i rzekł do siebie:  
Ty ołtarzyku przypominasz mi dziecinne lata, kiedym wy-  
kładał się z rodzinnego domu i spieszył do lasku, aby przed  
tobą otrząść się z myśli ziemskich i porozmawiać z Bogiem.  
Jakże przyjemne to wspomnienie, jakże lubię tę samotną  
izdebkę! Aż boję się téj chwili, kiedy wypadnie mi wstąpić  
między ludzi!

Słowa te mówił z takim zapalem, że nie uważał, jak  
drzwi się otwarły i stanął na progu kleryk, jego przyjaciel.

— Mikołaju! co mówisz — zawołał tenże — czemu  
pozwalasz twym myślom puszczać się na manowce? Gdybym  
cię nie znał, gdybym nie wiedział, że jesteś wzorem dla  
nas kleryków, mógłbym powiedzieć, że nie masz powołania  
do stanu duchownego, że cię Bóg do niego nie usposobił.  
Spojrzyj na ten obraz Pana Jezusa! Przypomnij sobie  
z pisma św., jak nasz Zbawiciel wśród ludzi najmiliej prze-  
bywał i głosił naukę zgromadzonej rzeszy. Niech cię słaby  
rozum nie łudzi, niechaj te trwożliwe myśli i tęsknotę do  
samotności modlitwa i prośba do Boga zwycięża, abyś mógł  
śmiało wystąpić w wirze świata i walczyć odważnie z nie-  
przyjaciółmi błędnej wiary, jak żołnierz na wojnie.

Po téj przemowie Mikołaj oprzytomniał i rzucił się  
w objęcia przyjaciela, oblewając łzami jego oblicze.

Pewnego razu, kiedy najstarsi klerycy przygotowali  
się do ostatniego święcenia kapłańskiego, oddając się ściślej  
pokucie i postom, przełożony, czyli rektor, wezwał Mikołaja  
do siebie i tak do niego przemówił:

— Wkrótce opuścisz mój przyjacielu te mury i po-  
święcony Sakramentem kapłaństwa, pójdziesz między ludzi  
głosić naukę Chrystusa. Nosilem się z myślą, aby cię wy-

słać do krajów pogańskich, abys tam opowiadał i krzewił słowo boże. Ale Bóg inną drogę ci wskazał. Bo oto dowiedziałem się, że stryj twój Mikołaj buduje klasztor i zamierza uczynić cię jego przełożonym. — To powiedziawszy, skinął ręką, a Mikołaj w pokorze ducha nic nie rzekłszy, ucałował rękę rektora i wyszedł.

Kiedy przechodził długim korytarzem i miał wejść do swéj celi, ujrzał przy drzwiach zgarbionego staruszka.

— Jak się macie kochany dziadku? — zapytał go. — Jaką przynosicie mi wiadomość?

— Mój młody księżu i dobrodzieju! — odrzekł dziadek — czuję, że Bóg wkrótce powoła mię do siebie. Ledwie zdołałem przywlec się tutaj, bo nogi nie chcą mię już nosić, a całe ciało słabe. Ale nie mógłbym spokojnie umierać, gdybym cię jeszcze nie zobaczył, gdyby moja schorzała ręka nie pobłogosławiła cię, gdybym ci nie podziękował za dary, które z twéj młodziutkiej dłoni odbierałem. Niech cię Bóg błogosławi, niech twoje imię przyszłe pokolenia ze czcią wspominają. Oby niebo wysłuchało méj prośby — dodał, odchodząc chwiejnym krokiem.

Mikołaj z właściwą sobie skromnością zarumienił się i nic nie odpowiedział. Stał kilka chwil zamyślony, patrząc za dziadkiem. Dopiero głos dzwonka, wzywającego do wspólnej modlitwy, wyrwał go z téj zadumy.

Zbliżyła się wreszcie uroczystość ostatniego święcenia Klerycy, przejęci ważnością téj chwili, modlili się przy ołtarzu i oczekiwali przybycia biskupa. Zgromadzony lud spoglądał na gromadkę zatopionych w modłach kleryków.

— Jakże pięknie wygląda w tym kapłańskim stroju ów kleryk, klęczący pierwszy po prawej stronie! — rzekła jedna kobieta do sąsiadki, wskazując palcem przed ołtarz. — Jak on się nazywa? Coby to było za szczęście dla nas, gdyby go przeznaczyli dla naszej gminy!

— To Mikołaj, syn tych staruszków z Patary — odpowiedziała sąsiadka. — Jego stryj buduje wielki klasztor.

Cała rodzina pobożna, to też z niego ma pociechę. Już go tu wszyscy biedni znają i po jałmużnę do niego przychodzą. Jego wyprawę niezawodnie w dalekie strony, gdzie są ludy światłe w naukach światowych, a jeszcze nie mają wiary w prawdziwego Boga.

Pogadankę tę przerwały pobożne i wesołe pienia duchownych. W kościele zapanowała cisza, a modły ludu unosiły się przed tron wszechmocnego Boga. A kiedy starszek biskup dopełnił obrzędu, zakończył przemowę do nowych księży słowy Chrystusa: „Idźcie tedy na cały świat i nauczajcie wszystkie narody!...”

Lud rozplakał się, a rodzice Mikołaja i jego stryj, obecni przy wyświęceniu, upadli na kolana, dziękując Bogu, że im pozwolił dożyć tego szczęśliwego dnia.

Wkrótce potem rozjechali się młodzi księża w różne strony kraju, a Mikołaja przeznaczono na jakiś czas do pobliskiego miasteczka, dopóki jego stryj nie ukończy budowy klasztoru.

---

### ROZDZIAŁ III.

## DOM MODLITWY.

W małej odległości od Patary, w stronie wschodniej, rozciągał się lasek, a raczej gajik, otoczony z jednej strony wieńcem gór, poprzerzynanych parowami. Była to urocza miejscowość. Lasek ten należał do Mikołaja, stryja młodego księdza.

Obecnie nie było już śladu z owego lasku, ale za to na tém miejscu stanął piękny kościół.

Była to wspaniała świątynia, zbudowana w kształcie krzyża.

Z jednej strony kościoła ciągnął się budynek mieszkalny, przez który prowadziły długie krużganki. Budynek ten przyległy przeznaczony był na mieszkanie, albowiem mieścił w sobie dużo małych pokoików. Z każdego pokoiku wychodziło się na rozległy ogród, który był podzielony na małe ogródki.

Kościół i wszystkie budynki były już prawie gotowe. Nawet we wnętrzu kościoła stały ławki, konfesyonały i inne sprzęty. Tylko tu i owdzie wykończano jeszcze roboty około ołtarzów.

Właśnie w tej chwili założyciel, czyli fundator kościoła, stary Mikołaj, przechadza się z bratem, oglądając budynki klasztorne. Weszli do kościoła i stanęli przed jednym ołtarzem.

— W tém miejscu — rzecze Mikołaj do brata — gdzie twój syn, kiedy był jeszcze chłopcem, modlił się pod drzewem, kazałem zbudować na pamiątkę ten ołtarz. Ołtarz ten jest najwspanialszy ze wszystkich. Przypatrz się, jak piękna i delikatna robota tej rzeźby! A czy poznajesz, co to za ołtarzyk umieszczony nieco wyżej?

— A prawda! to ołtarzyk mojego syna. To tensam, który sobie zrobił, gdy był jeszcze malcem. A skądże go ty wzięłeś, kochany bracie?

— Mylisz się mój drogi. Nie jest to tensam. Ja kazałem całkiem podobny zrobić i miałem w tém swój cel. On nie dałby mi swego za nic w świecie. Jeszcze przed dwoma laty, gdy był klerykiem, prosiłem go, aby mi go darował, a za to obiecałem mu sprawić jeszcze piękniejszy i bogatszy. Ale mię bardzo prosił, aby mu tej przykrości nie robić i nie pozbawiać go tej drogiej mu pamiątki z lat dziecinnych. Szanując téż to jego przywiązanie do ołtarzyka, nie prosiłem go już więcej, a na pamiątkę kazałem wyrzeźbić podobny i tu go umieścić.

— A czy nie wiesz mój Mikołaju, gdzie teraz mój syn zostaje?

— Wiem, bo dowiaduję się o tém ciągle. Oto teraz, kiedy to dzieło dla chwały Boga już gotowe, powiem ci, że zamyśliłem ów dom modlitwy przeznaczyć na klasztor, sprowadzić księży zakonników, a syna twego, a mego chrześnika, uczynić w nim przełożonym, czyli opatem. On tak lubi ciche, spokojne życie, lubi zagłębiać się w księgach świętych, skazywać się na dobrowolne ubóstwo, a biednych jałmużną wspierać, życie więc klasztorne wyjdzie mu na większy pożytek i chwałę bożą.

Niedługo po téj rozmowie pobożnych braci, w święto Matki Boskiej, miało się odbyć poświęcenie klasztoru. Księża w grubych sukniach klasztornych przybywali z różnych stron świata.

Stary Mikołaj krzątał się i każdego przyjmował. Ale na twarzy jego malowała się pewna niecierpliwość, bo ciągle spoglądał w jedną stronę miasta. Widać, że oczekiwał najważniejszej osoby. Wreszcie zobaczył w oddali gromadkę ludzi, a wnet ku swój największej radości poznał w rzeszy swego bratanka, księdza Mikołaja. Zbliżał on się z biskupem i kilkoma księżmi. Obok niego postępował wysoki mężczyzna z pobożnie na dół spuszczoną głową. Był to jego serdeczny przyjaciel. Nazywał się Paweł Rodyczyk, pochodził z Grecyi i był znany z głębokiej nauki.

Naprzeciw téj pobożnej rzeszy wysła procesya z klasztoru, gdzie odbyło się wspaniałe nabożeństwo, przyczém dopełniono w obecności księży i starszyny z Patary zapisu, czyli aktu fundacyjnego. Według woli fundatora obrano opatem księdza Mikołaja.

Wybór jego okazał się wkrótce bardzo dobry. Młody opat dbał bowiem o porządek w kościele, był wzorem pobożności i skromności dla swych braci; a miłym w obejściu. Twarde łoże było jego posłaniem, a gruba suknia zakonna jedyném ubraniem. Jadał bardzo mało, a czasem tylko dla

pokrzepienia sił używał trochę wina. Najczęściej odprawiał nabożeństwo przed tym ołtarzem, w którym była umieszczona kapliczka, przedstawiająca jego ołtarzyk domowy.

Już dawniej znany był między biednymi jako dobrodziej i hojny jałmużnik, a teraz tém więcej rozchodziła się po kraju sława jego imienia. Nie pragnął on tego rozgłosu, bo wspierał biednych zwykle potajemnie. W bramie klasztornej gromadziło się o pewnej porze dnia dużo ubogich, czekając na ciepłą strawę. Dzieci, które bardzo kochał, zbiegały się do niego na ulicy, aby ucałować jego świętobliwe ręce, a on każde głaskał i jakąś zabawką lub datkiem obdarzał. Gdy się dowiedział, że jaka rodzina żyje w biedzie, spieszył jój zaraz z pomocą.

W Patarze żył wówczas zubożały szlachcic, mający dwie córki. Świętobliwy opat, pragnąc tego człowieka wyratować z biedy, a córkom jego zapewnić późniejsze życie, rzucał mu w nocy potajemnie pieniądze do komory. Szlachcic dziwił się, skąd mu ciągle złoto napływa. Aż raz w nocy usłyszał dźwięk pieniędzy, rzuconych przez okienko do izby. Zerwał się z pościeli, wybiegł na ulicę i ku wielkiemu swemu zdumieniu ujrzał i poznał dobroczyńcę. Padł mu do nóg, dziękując za dary.

— Mężu, nie dziękuj; proszę cię, nie mów o tém nikomu! — rzekł skromnie Mikołaj.

Raz siedząc znowu z Pawłem na ławce w ogródku klasztornym, zapytał go:

— Mój towarzyszu! Czy byłeś u tych biednych ludzi, obarczonych kilkorgiem drobnych dziątek?

— Tak — czcigodny Mikołaju! Zaniósłem im trochę żywności, a na dodatek powiedziałem ojcu, aby się zabrał do jakiej roboty i zarabiał na utrzymanie rodziny.

Sędziwych jego rodziców powołał wreszcie Bóg do siebie. Cały majątek, jaki po nich pozostał, otrzymał Mikołaj na własność. Wprawdzie nie pragnął on ziemskiego dobra dla siebie, jednak przyjął tę spuściznę po ojcach z wielką

uciechą, bo otworzyło mu się nowe źródło do spełniania uczynków miłosiernych.

Stryj jego, fundator klasztoru, dożywszy pięknego wieku starości, spoczął także snem wiecznym na cmentarzu obok brata.

Pobożny opat odczuł dotkliwie stratę dobrej rodziny, a zastanawiając się nad znikomością świata, popadł w zadumę. Paweł zauważył tę zmianę duszy w przyjacielu i wybierał się do niego, aby go rozerwać.

Właśnie w tej chwili Mikołaj wezwał do siebie zakonników i Pawła i rzekł do nich:

— Kochani bracia! Człowiek z latami powinien pozbywać się wad i stawać się coraz lepszym. Ja zastanawiając się nad sobą, zauważyłem, że dużo niedostaje mi do tej doskonałości, do jakiej dojść pragnę. Dlatego postanowiłem was pożegnać. Opuszczę klasztor i udam się do miejsc tych, gdzie nasz Zbawiciel się urodził i umarł. W Ziemi świętej chcę oczyścić się ze ziemskich myśli, zamknąć w pamięci lata ubiegłe mego życia i rozpocząć nowe, zapomniany i nieznanym od ludzi.

— Tobie Szymonie — mówił dalej, wskazując na najstarszego wiekiem zakonnika — powierzam opactwo, a ciebie Pawle, mianuję gospodarzem i opiekunem biednych. Taka jest moja niezłomna wola.

Zakonnicy przyjęli tę wiadomość ze smutkiem i pożegnali dobrego opata.

---

#### ROZDZIAŁ IV.

### POBOŻNA PIELGRZYMKA ŚW. MIKOŁAJA.

Mikołaj ostatni raz spojrzął mile na swój ołtarzyk w celi zakonnej, zrosił go gorącymi łzami i puścił się



w podróż. Skierował swe kroki w stronę południową i przybył na wybrzeże morskie, aby na okręcie przepłynąć przez morze i zwiedzić Palestynę, czyli Ziemię świętą.

Właśnie w tym czasie okręt stał w pogotowiu przy brzegu, czyli w porcie, oczekując na podróżnych. Przełożony okrętu, czyli kapitan, człowiek barczysty, o ogorzalącej twarzy, przyjął biédnego zakonnika z nieufnością, a majtkowie popatrzyli nań z ukosa.

Okręt wypłynął na otwarte morze. Lekki wiatr poruszał jego żagle i posuwał w stronę Aleksandryi, miasta najhandlowniejszego i najbogatszego na wybrzeżu Afryki.

Mikołaj przypatrywał się spokojnej powierzchni morza, które zdaleka wyglądało jak szklanna, pokarbowana podłoga. Wesołe rozmowy i śmiechy podróżnych głużył plusk wody.

Mikołaj nie brał udziału w rubasznych pogadankach, ale ciągle wpatrywał się w pewien odległy punkt nieba, które zdawało się dotykać powierzchni morza. Po pewnej chwili zawołał głośno do majtków:

— Meżowie! Ściągnijcie żagle, bo będzie burza!

Ze zdziwieniem wszyscy zwrócili się w stronę, skąd wyszedł ten złowieszczy głos. Kapitan obejrzał się wokoło i rzekł surowo:

— Jak śmiesz uragać się dobrym bogom, którzy nam tak spokojny wiatr zesłali!

Majtkowie zaś zaśmiali się i powiedzieli:

— Ten człowiek nie ma rozumu, kiedy mówi o jakiejś burzy w tym pięknym czasie.

Ale jakież strach ogarnął wszystkich, gdy po chwili uczyli ostro, wzmagający się wiatr, a na niebie zobaczyli gromadzące się chmury. Wiatr zahuczał w powietrzu, żagle się ugięły, a maszt okrętowy zatrzeszczał. Ptaki morskie poczęły z hałasem krążyć nad okrętem, zapowiadając burzę. Majtkowie rzucili się do żagli i zaczęli je ściągać. Wnet zaległa w powietrzu ciemność. Podróżnych przejęła

trwoga na widok piętrzących się bałwanów morskich. Okręt kołysał się na wszystkie strony, miotany wichrem. Wszelkie wysilenia kapitana zdawały się być bezskuteczne. Woda poczęła się już wlewać do okrętu. Straszne jęki wydobywały się z piersi podróżnych; tylko Mikołaj stał spokojnie, jakby obojętny na grozę śmierci. Jeden majtek śmielszy od innych, wyspinał się na wierzchołek masztu, chcąc poprawić i naprostować żagle.

— To czarownik! — wyjęknął kapitan i zmierzył Mikołaja groźnym wzrokiem. — Tyś sprowadził burzę, więc pierwszy zginiesz w otchłani morskiej! — Ale zaledwie domówił tych słów, spadł pod jego nogi majtek z masztu na pokład okrętu. Wszczął się jeszcze większy popłoch.

— On już nie żyje! — zawołało kilku.

— Puście mię do niego! — rzekł Mikołaj, przeciskając się przez tłum.

Ludzie rozstąpili się, a Mikołaj ujął majtka silnie za ramię, wstrząsnął nim i zawołał:

— Wstań człowieku i idź w pokój!

Majtek otworzył oczy i podniósł się o własnych siłach.

— To cud! — wykrzyknął każdy, zapominając o niebezpieczeństwie, w jakim się przed chwilą znajdował. Mikołaj zaś, wskazując na niebo, rzekł:

— Przypatrzcie się mężowie tym chmurom, które rozdarły, rozpraszają się; przypatrzcie się tej wspaniałej tęczy, która nam zwiastuje pokój!

Podróżni podnieśli oczy do góry i ujrzeni w oddali piękną tęczę i wypogadzające się niebo nad sobą. W tej chwili Mikołaj wznosił ręce do góry, jak do modlitwy, i utkwiał wzrok w niebo. Jakby na dany znak, wicher, srożący się przed chwilą, uciszył się, morze przybrało gładką powierzchnię, a okręt płynął spokojnie. Kapitan, który dotąd stał jak skamieniały i słowa nie mógł wyrzec, przystąpił do Mikołaja i upadł mu do nóg. Podróżni za jego przykładem uczynili to samo, całując jego zakonną suknię.



BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA

— Mężu, wyjaw nam twe imię, abyśmy je sławili! — zawołali pokornie.

Na to odpowiedział Mikołaj:

— Mężowie! Każdy cud jest dziełem Boga, jego więc chwałę głoście po świecie!

Słowa te utkwily w ich sercach i sprawily głębokie milezenie.

Resztę drogi morskiej przebyto szczęśliwie. Okręt zawinął do portu. Oczom podróżnych przedstawił się widok wielkiego miasta Aleksandryi. Ten i ów wysiadał z okrętu i szedł w swoją stronę. Mikołaj pożegnał kapitana i udał się do miasta. Tu dowiedziano się już o cudownym ocaleniu okrętu; lud cisnął się do Mikołaja, wzywając jego rady i pomocy.

W Aleksandryi zabawił dni kilka i puścił się brzegiem morskim do Palestyny. Jakże biło mu serce ze wzruszenia, gdy po kilku tygodniach uciążliwej drogi kamienistej, zobaczył Betleem, miejsce urodzenia Chrystusa! Pokrzepiony na siłach modlitwą w tym świętym miejscu, przybył po kilku godzinach do Jerozolimy. Miasto to, otoczone murami, leży na wysokiej płaszczynie. Na wąskich, krzywych ulicach widział tłumy ludu w rozmaitych strojach: żydów, Turków i chrześcian. Ze szczególną czcią ukląkł w kościele Grobu św. i w rzewnej modlitwie zatopiony przed grobowcem, w którym leżał Zbawiciel, zapomniał o trudach podróży.

Wszystkie te święte miejsca, jako to: góra oliwna, kalwaryjska, źródło Apostołów, Maryi, miasteczko Nazaret u stóp góry Tabor, w którym Zbawiciel spędził swoją młodość, i Tiberias nad jeziorem Genezaret — pokrzepily jego duszę, a każdy kamień, maleńki strumyk i owe wspaniałe i wonne ogrody uprzytomniły mu w pamięci dzieje biblii świętej. Wzbogacony na duszy tak pięknym widokiem świętego miasta i jego pełnych pamiątek okolic, postanowił w dalszej pielgrzymce zwiedzić D a m a

szek, miasto handlowe i przemysłowe, w azyatyckiej Turcyi leżące.

Kiedy raz w pięknej, uroczej równinie damasceńskiej, zwanój rajska doliną, w cieniu szlachetnych fig, złotych jabłek, pomarańcz i cyprysów spoczywał, opanowała go taka przyjemna senność, że sam nie wiedząc kiedy, zasnął snem twardym. Gdy się przebudził, ujrzał przed sobą dwóch mężczyzn stojących. Przeląkł się na razie, sądząc, że to źli ludzie. Ale kiedy jeden przemówił do niego uprzejmie, uspokoił się i zapytał:

— Mężowie! czego tu stoicie?

— Pilnujemy cię, abyś nie doznał szkody! — rzekł pierwszy.

— Bóg wam zapłać! A skąd wy jesteście?

— Pochodzimy z ziemi greckiej, a z twojój mowy i sukni poznaję, że jesteśmy wyznawcami téjsamój wiary co i ty. Moje imię jest Teodor Aszkalonita, a tego młodziana Filomen. Przed dwoma laty byłem w Rzymie, a tego przyjaciela poznałem niedawno na wędrowce po Ziemi świętej. Miałem także drugiego towarzysza, Pawła Rodyjczyka, ale na wyspie Rodus przypadkiem rozstał się.

— Mężu! jakie szczęśliwe spotkanie! Paweł Rodyjczyk jest w klasztorze, w mojem miejscu rodzinném. Czy chcecie i wy być moimi przyjaciółmi?

— Tak! — odpowiedział Filomen — bo z twego oblicza przemawia dobroć i szczérość.

— Bóg zesłał was do mnie — mówił dalej Mikołaj. — Przed chwilą, gdym tu usiadł, zasnąłem twardo. Zdało mi się, że słyszę z nieba głos, który rozkazuje mi, abym wrócił tam, gdzie zostawiłem braci zakonnych. Nazywam się Mikołaj, i jestem opatem klasztoru w Patarze. Opuściłem to ustronne miejsce i umyśliłem sobie pójść na puszcę. Ale Bóg chce inaczej. Wola jego niech będzie świętą. Wróć więc znowu do méj celi.

— I my pójdziemy z tobą i będziemy ci służyli! —  
rzekł Teodor.

I tak trzech pielgrzymi, opuściwszy ową prześliczną dolinę damasceńską, przepawili się przez góry Libanon, morzem przy płynęli do Licyi i stanęli wreszcie w Patarze.

---

## ROZDZIAŁ V.

### SZCZĘŚLIWY WYBÓR.

Nastały znowu dla braci zakonnych dni pogodne; każdy miał sobie wytyczone zajęcie. Jedni zatrudniali się gospodarstwem, chodowali warzywa, kwiaty i sporządzali z ziół górskich lekarstwa, inni odwiedzali chorych i rozdawali jałmużny. Paweł, Teodor i Filomen robili czasem dalsze wycieczki, uczyli dzieci pacierza, a starszych wzywali do dobrego, pracowitego życia.

Tak upłynął jakiś czas, a zakonnicy z Patary zasłynęli daleko z pobożności i dobrych uczynków. Ale nikt jeszcze nie przewidział, jakie będą jego dalsze koleje życia. Tak też i Mikołaj nie przeczuł, co go czeka. Bo kiedy raz modlił się w swęj celi, zdało mu się, że słyszy głos: „Mikołaju! między ludzi świeckich iść musisz, jeżeli chcesz zasłużyć sobie na większą chwałę!“

Posłuszny temu wezwaniu, pożegnał znowu klasztor i wziął ze sobą Pawła, Teodora i Filomena. Cztérej podróżni opuścili Patarę, nie namyślając się dokąd iść mają.

Przypadkiem zwrócili się w stronę Mirry. Mirra, miasto dosyć okazałe, leżało na skalistój pochyłości. Było ono stolicą biskupa. Właśnie w tym czasie w mieście pa-

nował ruch niezwykły, albowiem zjechało się do niego dużo duchownych na wybór nowego biskupa. Naradzali się oni długo. Już kilka dni minęło, a jeszcze nie znalazł się taki, coby okazał się najgodniejszym do piastowania téj wysokiéj godności kapłańskiéj. W tém podczas narady wstaje jeden biskup z siwą głową i w te odezwie się słowa do zgromadzonych:

— Bracia w Chrystusie! Zostawmy kościół otwarty przez całą noc, a kto pierwszy raniutko wejdzie do niego, ten będzie biskupem.

— Wyborna rada! — zawołali wszyscy i rozeszli się, zatrzymując to, co uradzili między sobą, w tajemnicy.

Już noc zapadła. Podróżni z Patary przybyli wreszcie do Mirry. W gospodzie pokładli się zaraz na spoczynek, aby jutro o świcie ruszyć w dalszą nieznaną im drogę.

Ale Mikołaj, chociaż znużony, zasnąć nie może. Dziwne myśli snują mu się po głowie. — Przecież tu jest kościół! — rzecze do siebie i wstaje z pościeli. — W modlitwie znajdę spokój duszy i rozprószę trapiące mię myśli.

To powiedziawszy, cichutko wyszedł z gospody i błąkał się po pustém mieście. Aż tu naraz mignęło mu w oczach światło wewnątrz jakiegoś budynku.

— To kościół! Ale cóż to ma znaczyć, że brama jego już tak wczesnie otwarta, a na ołtarzu goreje świeca? — rzekł do siebie i klęknął na stopniach ołtarza. Kilka chwil czysta jego dusza rozmawiała z Bogiem.

Wtedy z za muru daje się słyszeć szelest. Jakaś postać ludzka wstaje i spieszy ku niemu — to biskup, staruszek. Długie włosy spływają mu na ramiona, a z ócz bije światło radości i zadowolenia.

— Mężu wybrany! — rzecze do Mikołaja i ujmuje go za ramię.

Mikołaj jakby z twardego snu przebudzony, ogląda się za siebie.

— Bóg cię tu przysłał! — mówi dalej staruszek. —



Z jego woli i według naszej myśli będziesz biskupem w tém mieście.

Mikołaj słysząc to, upadł na twarz i zawołał: Boże! dodaj mi siły stać się godnym téj łaski!

Wnet rozeszła się w mieście wiadomość o tém cudowném zdarzeniu; księża i lud pospieszyli na powitanie nowego biskupa.

— To Mikołaj, ojciec klasztoru z Patary! — rzekł jeden kapłan.

— To miłośnik dzieci i dobrodziej biednych! — dodał drugi.

— Jak szczęśliwy wybór! — zawołali inni.

Tymczasem trzej nasi wędrowcy zaniepokoiili się mocno, gdy przebudziwszy się, nie zobaczyli swego opata. Ale jakież było ich zdziwienie, gdy wyszedłszy do miasta, ujrzeli wielki ruch na ulicach!

— Cóż to u was za święto? — zapytał Filomen jednego przechodnia.

Nieznajomy popatrzył na podróżnych i rzekł:

— Skądże jesteście szanowni pielgrzymi, że nie wiecie, co się dzisiaj stało w naszym mieście? Bóg przysłał nam w nocy ojca opata z Patary i wprowadził do kościoła, aby go obrać biskupem w Mirrze.

Towarzysze z żywą radością w sercu i z pokorą na obliczu, pospieszyli za innymi. Właśnie wtedy Mikołaj, ubrany w szaty biskupie, wychodził przed kościół i udzielał ludowi błogosławieństwa.

Po dopełnieniu obrzędów, jakie się odbywają przy poświęceniu biskupa, stanęli przed nim, a Paweł pokłoniwszy się, zawołał uroczyście:

— Bądź pozdrowion arcypasterzu! Któż może zgłębić wyroki niebios, któż zbada jego wielką mądrość! Bóg wyniósł cię na ten wysoki stopień godności — Jemu niech będzie cześć i chwała!

## ROZDZIAŁ VI.

### NARADA ŚW. MIKOŁAJA Z TOWARZYSZAMI.



I tak zasiadł na stolicy biskupięj Mikołaj, mąż, bogaty w piękne przymioty duszy.

W owym czasie, kiedy to wiara chrześcijańska między poganami dopiero się przyjmowała i licznych jeszcze miała nieprzyjaciół, zadanie biskupa było bardzo ważne, ale też i trudne. Chrześcianie, którzy wtedy w podziemnych piwnicach, czyli katakumbach, odprawiali nabożeństwo, gdzie także swych umarłych chowali, potrzebowali do wytrwania w swęj wierze zachęty, dobrego przykładu i poświęcenia.

Takim właśnie mężem, gotowym oddać życie za wiarę, był Mikołaj.

Trzeba wiedzieć, że srogimi nieprzyjaciołmi i prześladowcami nauki Chrystusa byli Rzymianie. Cesarze rzymscy, którzy po większej części w tym czasie, t j. od r. 180 do 300 po nar. Chrystusa, najgorzej rządili owém, niegdys potężném państwem i zdobywali sobie władzę zwykle przekupstwem, rzucali się często na niewinnych chrześcian i kazali ich palić na stosach, lub okrutnie zabijać.

Jednakże prześladowania te i uciski nie tylko że nie zmniejszały, ale owszem powiększały liczbę wyznawców Chrystusa. Nowa wiara krzewiła się szybko; przeciwnie, państwo rzymskie chyliło się do upadku, a cesarze ginęli zwykle z ręki skrytobójcy. Z Rzymu szērzyło się powoli światło ewangelii po całym świecie, a miasto Romulusa, owego pierwszego niegdys króla rzymskiego, stało się wieczném miastem kościoła chrześcijańskiego.

W takich to ciężkich czasach za Dyoklecjana,

który panował (od r. 284 — 305 po nar. Chr.) ze współrządcą Maksymianem, objął Mikołaj urządowanie biskupie w Mirrze i zajął się losem swego wiernego ludu.

Aby mieć ciągle wiadomości z kraju, ustanowił w roku jeden tydzień, w którym zjeżdżali się do Mirry duchowni i radzili z nim o potrzebach parafian.

Narady te odbywali w pałacu biskupim. Pałac ten stał na wzgórku i był ocieniony wschodnimi drzewami. Wyglądał jak obronny zamek.

Mikołaj nie poczynił w nim żadnych zmian ani na zewnątrz, ani na wewnątrz. Proste sprzęty stanowiły całe jego bogactwo. Od młodości bowiem, jak wiemy, Mikołaj wiodł życie surowe, a teraz tém więcej, jako biskup, skierował wszystkie swe siły dla dobra swego ludu.

Trzej jego przyjaciele stali się teraz nieodstępnyimi doradcami i towarzyszami. Z nimi téż rozpoczął pobożne wędrówki po kraju. Ich, jako szafarzów swego mienia, wysyłał do chat biędnych ze wsparciem. Zamożniejsi mieszkańcy Mirry składali mu sami datki dla ubogich. Towarzysze mieli także poruczony obowiązek dowiadywać się, czy dzieci są grzeczne i warte podarków.

W tym celu odbywali często sami kilka razy do roku podróże, rozdając jałmużny, albo wyjeżdżali do miast na zakupno podarków dla dzieci. Tych to mężów zaprosił Mikołaj raz do siebie i tak ich zagadnął:

— Mili towarzysze! Zbliża się znowu ten czas, w którym mamy stanąć z podarunkami przed ukochanymi dziećmi. I tego roku pospieszmy do nich, a dusza moja rozweseli się widokiem ich świeżych i rumianych twarzyczek. Myślę zagładnę do ich serduszek, aby się przekonać, czy błędy i wady światowe nie zepsuły ich jeszcze. Włożony na mnie urząd arcypasterza pragnę godnie sprawować i pracować tém więcej dla duszy i ciała starych i młodych; pragnę, aby moja miłość natchnęła serca dzieci cnotą bojaźni Bożej i wszczepiła w nie wdzięczność dla rodziców.

— Z zaenych twoich ust, czcigodny ojciec — rzecze na to Paweł Rodyjczyk — płyną słowa, które są znakiem miłości ku dzieciom, ale wyznam otwarcie, że trzeba zachować pewną miarę w rozdawaniu datków, bo nie wszystkie zasługują na nie. Z jakąż to uciechą biegałem dawniej od miasta do miasta, od dworu do dworu, z domu do domu; jakże cieszyłem się, gdym zastał ojca i matkę, otoczonych dziećmi! Jakież to był piękny dla oka widok, gdy dzieci po nauce słuchały opowiadań z historii świętej o sławnych mężach, co za wiarę życie poświęcali! Wesół upływały godziny wieczorne i przynosiły dla dzieci pożytek, a dla rodziców wytchnienie po całodzienniej pracy. A dzisiaj?..

— Pozwól mój stary przyjacielu, że przerwę twą mowę — odezwie się drugi doradca biskupa, Teodor Aszkalonita — bo trzeba wiedzieć, że miłość naszego biskupa dla ludzi, a szczególnie dla dzieci, jest naśladowaniem miłości Chrystusa, który gromadził koło siebie zgłodniały lud i karmił go, który lubiał przebywać między dziećmi i nauczać je. To téż i dzieci cisnęły się do niego, zachowując dlań czyste serduszka. I naszego arcypasterza znają biedni i bogaci, a święta pamięć o nim przechodzić będzie także z pokolenia na pokolenie.

— Tak jest — powie na to młodszy towarzysz Filomen. — Pamiętam, gdym w przeszłym roku był w podróży, słyszałem wyraźnie, gdy jedna dziewczynka pytała matki: „Mamo! Kiedy to znowu odwiedzi nas ten dobry biskup?“ — „Moja Michasiu! On chodzi tylko do grzecznych dzieci, a niegrzecznych nie lubi“ — odrzekła matka. — „Mamo, ja będę grzeczna, proszę cię, niech i do mnie przyjdzie!“ — odpowiedziała strapiiona dziewczynka. — W innym domu znowu — mówił dalej Filomen — chłopczyk uganiając po pokoju za psem, uwiązany na sznurku, przewracał krzesła i nie zważał na napomnienia. Dosłyszawszy coś z rozmowy o naszym biskupie, przystanął i nadśluchiwał, o czém to mowa. Widzicie z tego,

że nasz biskup ma wielkie poszanowanie u dzieci, i że jego odwiedziny sprawiają w nich zmianę na dobre. — Dzieci mają swoje wady, bo któż bez nich? — ale ich serca są miękkie jak wosk, z którego najpiękniejsze figurki można formować.

— Słusznie mówisz młody towarzyszu — powie na to biskup. — Człowiek starszy potrzebuje ciągle zachęty i upomnienia, a tém bardziej dziecko. — Umysł dzieci — to jakby drobny kwiateczek, co wzrasta, zieleni się i kwitnie, gdy go troskliwa ręka ogrodnika pielęgnuje i podlewa. Dzieci potrzebują ciągłej opieki. Gdy się je wdroży i przyzwyczai do dobrego, nie łatwo dadzą się sprowadzić na złą drogę. A więc moi mili towarzysze, nasze wędrowki po kraju są także pożyteczne dla dzieci, bo te odwiedziny zachęcają je do dobrych czynów, wzmacniają ich wolę i uszlachetniają serca. Idźcie tedy do miast, nakupcie i tego roku dla nich podarków, ale wybierajcie takie, co nie tylko bawią oko, ale i myślenie rozbudzają, co nie tylko uciechę, ale i pożytek przynieść im mogą.

Tak naradziwszy się z towarzyszami, dał im wskazówki, jak się mają w podróży zachować i pożegnał ich miłym uśmiechem. Potém poszedł do osobnej komnaty i przejrzał spis grzecznych dzieci, do których w przeszłym roku z podarunkami wstępował.

---

## ROZDZIAŁ VII.

### PODRÓŻ TOWARZYSZÓW PO PODARUNKI.

Gdy bogobojny biskup oddalił się z komnaty, gdzie miał naradę z towarzyszami, powstał wnet w całym pałacu

niezwykły ruch, który był znakiem przygotowania do wielkiej podróży.

Duże bryki na grubych i ciężkich kołach wtaczano na dziedziniec. Pacholcy wyprowadzali ze stajni konie, które rozdymały nozdrza, grzebały nogami i stawały same przed wozami. Wiedziały one dokąd i poco pojadą. Nie pierwszy raz gotowały się do téj drogi.

Towarzysze zaś i słudzy krzątali się po całym dziedzińcu. Jeden znosił długie i szerokie wory skórzane, drugi dźwigał paki, a inny robił miejsce na brykach i układał rzeczy. Stary i zgarbiony pacholek utwierdzał znowu u bryczek latarki i nalewał do nich oleju, a młody jego syn, Jakóbkiem zwany, uwijał się koło wozu i przypatrywał z uwagą wszystkiemu.

— Słonko już dawno zaszło, a my jeszcze stoimy na miejscu! — zawołał Jakóbek, zwracając się do ojca.

— Bądźno cierpliwy mój chłopcze, trzeba o wszystkim pamiętać. Droga daleka, a wracać nie można, gdybyśmy czegoś zapomnieli — rzekł jeden z towarzyszków, wkładając na wóz ciężką, żelazem okutą, szkatułę.

— Pilnuj lepiej swoich koni i pamiętaj na moję przestrożę, abyś im w drodze nie robił krzywdy i nie wdawał się z obcymi w rozmowy — dodał ojciec.

Wreszcie, kiedy już wszystko było gotowe do drogi, Jakóbek uśmiechnął się z zadowoleniem, zrobił na ziemi przed końmi krzyż rękojeścią, usadowił się wygodnie na wozie, trzasnął z bicia, aż odgłos rozległ się po odległych parowach, i bryki ruszyły. Stojący ludzie żegnali odjeżdżających, mówiąc: Niech was Bóg szczęśliwie prowadzi!

Gdy już ostatni wóz wyjechał z dziedzińca, ojciec Jakóbka stał jeszcze długo, spoglądał za odjeżdżającymi i przysłuchiwał się jednostajnemu turkotowi wozów.

Tymczasem w pałacu św. Mikołaja nastąpiła znowu cisza, a grube jego mury szarzały zdaleka.

Noc była cicha i chłodna; blade światło księżycy

oświecało skiby zoranėj roli, na której zieleniły się już tu i ówdzie młode roślinki kielkującego żyta i pszenicy, zasianych na zimę. Czasem odezwały się w powietrzu głosy sznurem przelatujących dzikich ptaków, lub dochodziło do uszów podróźnych słabe szczekanie psów z odległych wiosek. Towarzysze odmawiali pacierze, a od czasu do czasu rozprawiali ze sobą, lub zatopiwszy się w myślach, patrzyli w szarą ciemność nocy. Rącze koniki biegły równym krokiem, nie potrzebując zachęty pachołków.

— Już świta! — zawołał nagle Filomen — nasza „Patria“ niedaleko!

Na te słowa podróźni ocknęli się jakby z uśpienia. Każdy poruszył się i patrzył przed siebie.

— Filomen ma słusność! — rzekł Paweł. — Już się dzień robi. Tam oto na wschodzie niebo się zarumieniło.

I rzeczywiście. Ciemność nocy ustępowała, a zorza poranna zataczała coraz większy łuk, jaśniała silniej, aż wreszcie ukazał się rąbek wielkiej, ognistej tarczy wschodzącego słońca.

Jakóbek przetarł oczy, popędził biczem konie i jechał spieszniej.

Wnet odsłonił się przed podróźnymi piękny widok, ujrzeli przed sobą kamienną figurę z napisem: „Patria“, a nieco w oddali wieże i wyższe budynki miasteczka, rozciągającego się pod górą.

— Otóż staniemy tutaj, moi braciszku — rzekł Paweł do pachołków. — Koniki wypoczną, a my odmówimy modlitwę poranną i posilimy się trochę.

Konie stanęły, a towarzysze wysiedli z wozów. Każdy zdjął nabożnie czapkę i odmawiał cicho: Anioł Pański. A kiedy pachołcy podawali paszy koniom, towarzysze odeszli i usiedli pod Patrią.

Patria ta była znakiem jakiegoś pamiętnego zdarzenia. Każdy umiał coś ciekawego o niej powiedzieć, ale nie było już na świecie takiego, coby wyjaśnił istotną prawdę, kto

ją wystawił i na jaką pamiątkę. Może była słupem granicznym, a może tylko drogoskazem dla podróżnych.

Na wesołej pogadance, przy spożywaniu skromnego śniadania, zbiegła chwila czasu. Dopiero kiedy się już słońce w górę podniosło, towarzysze powstali i pospieszyli do wozów.

— Jakież to prześliczny ranek, ile to cudów w tej całej naturze! — zawołał Filomen, rozglądając się wokoło.

— Boże, jakże cię wszystkie ludy wielbić i kochać powinny!

— Oj prawda, mój drogi! — dodał Teodor, siadając na brykę — każdy robaczek i trawka są jego dziełem mądrości.

— A czy wszystko jest w porządku? — zapytał Paweł Jakóbka.

— Tak jest ojcze!

— Więc jedźmy dalej w imię Boże. Skręcimy teraz na prawo przez las.

— Ja znam tę drogę. Przeszłego roku szedłem przez ten las piechotą do gospody ojca Ambrożego, gdy był chory. Może i teraz go odwiedzimy?

— Dobrze, dobrze. Wstąpimy do niego z powrotem.

Wozy ruszyły zwolna jeden za drugim. Po obydwu stronach gościńca wyrastały małe, a dalej coraz gęstsze krzaki i wyższe drzewa. Miły chłodek orzeźwił podróżnych. Niekiedy silniejszy wiatr powiał po drzewach i strząsnął zwiędłe listki, które wirując w powietrzu, zatrzymywały się na gałązkach, a wreszcie zwolna spadały. Promienie słońca coraz mniej przedzierały się przez gałęzie i krzaki leśne.

— Jaka to dziwna myśl ogarnia człowieka, gdy się jest w lesie — mówił do siebie Paweł. — Niby przyjemnie, a przecież smętne myśli cisną się do głowy. W lesie szczególnie dusza człowieka unosi się do Boga i pod jego opatrzone oko tuli się, jak pisklę pod skrzydła matki. Tu, może więcej niż gdzieindziej, czuje się człowiek słabym stworzeniem.



Nie jest się pewnym życia, bo w jednej chwili może wyskoczyć z ukrycia złoczyńca. Dalszy wątek myśli przerwał mu Jakóbek, który z widoczną ciekawością i obawą wpatrzył się w jedną stronę lasu.

— A co ty tam widzisz?

— Zdawało mi się, że jakiś człowiek przesunął się za drzewem. Może to zbójca?

— Nie bądźno takim bojaźliwym; coby tu zbójcy robili! Musiało ci się przywidzieć; zresztą może jakiś człowiek szuka grzybów, albo zbiera suche gałązki — rzekł Paweł, śmiejąc się z Jakóbka.

Wreszcie las się przerzedzał; a przez drzewa można już było widzieć czyste pole. Ale domysły Jakóbka musiały być prawdziwe, bo w istocie, gdy nasi podróżni wyjechali z lasu, w tej chwili dwóch ludzi wyszło z krzaków i tak do siebie mówili:

— Jaka to szkoda, że nas tamci odeszli. Czy widziałeś te bryki? Nie pojmuję, dlaczegośmy je puścili na sucho!

— Co się odwlecze, to nie uciecze. Trudno było złamać rozkaz starego, a zresztą niebezpiecznie napadać w biały dzień. Oni będą wracali tą drogą, bo ja ich dobrze znam. Tylko trzeba się mieć na baczności i przygotować się, żeby się nam nie wymknęli, bo i oni widać ostrożni. Czy zauważyłeś, jak ten chłopak na pierwszym wozie wlepił we mnie oczy, jak kotek?

— Nie to nie znaczy, chwycimy ich do łapki. Ale musimy o tym odkryciu uwiadomić naszego starego.

— Ha! ha! Co to będzie za bogate żniwo!

## ROZDZIAŁ VIII.

### W G O S P O D Z I E.

W miesiąc potem towarzysze wracali do domu, wioząc zakupione po miastach podarunki. Wozy toczyły się zwolna, bo ciężar towarów i śnieg świeży, pokrywający gościniec, utrudniał podróż. Ostry wiatr roznosił płaty śniegowe i zasypywał gościniec. Niebo pokryte chmurami, zapowiadało zimę w całej sile.

— Czy to ta droga prowadzi do gospody Ambrożego? — rzekł Paweł do Jakóbka, wychylając się z wozu i wskazując ręką przed siebie.

— To, ta, mój ojczu! Ale też to dmie, że świata nie widzę!

— To musimy wstąpić do niego, bo nie podobna jechać dalej w takiej zawiei.

— I ja też tak myślę. A zresztą konie ustałyby wnet na takiej złej drodze. Ambroży ma wygodną stajnię, a przyjmie nas z ochotą, bo to nasz dobry przyjaciel.

— Tobie się widać podoba u niego; musiał cię dobrze ugościć, kiedy tak o nim pamiętasz. Ale, ale.. wstrzymajno trochę koni, bośmy naszych zostawili w tyle. Muszę im to zapowiedzieć.

Jakóbek zwolnił, a tymczasem wozy towarzyszów nadjechały.

— Kochani bracia! — rzekł wtedy Paweł głośno, oglądając się za siebie — odwiedzimy Ambrożego i zatrzymamy się u niego, aż burza ucichnie.

Jakóbek ucieszył się z tej zapowiedzi i zaraz skreślił końmi na inną drogę.

Po półgodzinnéj jeździe podróżni ujrzeli przed sobą zdaleka ładny, długi dom mieszkalny. Była to gospoda

Ambrożego. Prowadziła do niej poboczna droga, o której nie każdy wiedział. To też mało podróżnych zaglądało do niej, chyba że ktoś przypadkiem się zabłąkał. Ale zato przyjaciele i znajomi odwiedzali chętnie i często Ambrożego, bo znajdowali u niego wygody, które tylko dom własny dać jest w stanie. Tacy przyjaciele podróżni darzyli znowu gościnnego gospodarza różnymi nowinami, których on bardzo lubiał słuchać. A umiał tak zręcznie prowadzić rozmowę, że niktby się nie domyślał, że mu na tych nowinach coś zależy. Był przytém ostrożny i udzielał każdemu takich wiadomości, które jego najwięcej obchodzić mogły. Zresztą był to staruszek dla każdego uprzejmy, dlatego nikomu nigdy się nie naraził. A miał wielki dar, że z kilku słów poznał, czy ma przed sobą człowieka szczerego, dobrego, czy też skrytego, szkodliwego.

Wolne chwile spędzał na modlitwie. Nieraz godzinami przeklęczał w alkierzyku i nikt nie poznałby wtedy w nim tego ruchliwego i uśmiechniętego staruszka.

Kiedy już było blisko gospody, Jakóbek trzasnął z bicia, aby dać znać, że goście przyjeżdżają. W kilka minut wyszedł z domu jakiś staruszek i biegł spiesznym krokiem do nadjeżdżających. Był to Ambrożo.

— Witajcie kochani ojcowie! — rzekł wesoło, wyciągając ręce.

Konie zatrzymały się, a Jakóbek pierwszy wyskoczył z wozu i pocałował go w rękę.

Nastąpiło serdeczne przywitanie.

— Jakże się macie! Myślałem, że już nie wstąpicie do mnie! Ale jakże ja nieuważny i zatrzymuję was w tym śniegu. Wy braciszkuwie zajeżdżajcie do stajni — rzekł znowu do pachołków — ciepłej strawy i wam nie braknie.

— Już ja tu dobrze obznajomiony! — szepnął do siebie Jakóbek.

Tymczasem towarzysze wysiedli z wozów, a Ambrożo wprowadził ich do dużej izby. Zdjąwszy z siebie ciężką

ubranie, rozgościli się. Pocziwy gospodarz biegał wszędzie i wydawał służbie rozkazy. Wnet zastawiono stół, do którego zasiedli goście. Smaczne potrawy i wino pokrzepiły biesiadników. Na miłej pogadance upłynęło kilka godzin. Już zmierzch zapadał. Wtedy rzekł Ambroży:

— Zanocujecie u mnie, kochani bracia. Właśnie dlatego zatrzymałem was dłużej, abyście nie puszczali się w drogę porą nocną. Powiem wam prawdę, że nieprzyjemna czeka was podróż. Choć ja prawie nigdzie nie wychodzę, przecież wiem o wszystkim, co się dzieje w świecie. Oto doniesiono mi, że od pewnego czasu banda zbójców ukrywa się po górach i lasach, szczególnie w lesie za „Patrią“, i napada podróżnych. Zbójcy ci tak się rozzechwalili, że podobno w jasny dzień nie dają ludziom spokoju. Gdym się o tym dowiedział, aż mrowie przeszło mi po ciele, wiedząc, że w tym czasie jesteście w podróży. Zastanawiałem się więc nad tym, jakby was z niebezpieczeństwa wybawić, a przede wszystkim ostrzedz. Nie ulega jednak wątpliwości, że z nimi zetknąć się wam wypadnie. Dlatego dziękujecie Bogu, żeście do mnie zawitali. Zaopatrzyłem się w broń, którą wam pokażę.

To powiedziawszy, wyjrzał oknem, czy nie ma na dworze kogo obcego i zaprowadził towarzyszków przez sieni do komórki. Było tu wiele doborowej broni.

— Niechaj więc każdy bierze, co mu będzie dogodnym i zaopatrzy się na wypadek zaczepki.

— Ha! w ręku opatrności Boga są losy każdego człowieka, ale mam nadzieję, że nie zginiemy! — zawołał Teodor, biorąc do ręki ostry i ciężki miecz.

— A czyż ten toporek nie jest jakby umyślnie dla mnie zrobiony? — rzekł Filomen.

— Pewnie tu i dla Jakóbka znajdzie się coś stósownego! — zawołał znowu Paweł, chwytając długą dzidę.

— Otóż broń tę wyniesiecie ze sobą w ukryciu, aby moi ludzie ję nie widzieli i schowacie do wozów — szepnął

Ambroży. — Nie potrzebujecie się ich wprawdzie obawiać, bo ja nawet kilku zaufańszych wyślę z wami na pomoc, jednak wszystko trzeba robić ostrożnie. Właśnie teraz, kiedy się zciemnia, będzie najdogodniej przenieść ją na wozy.

Towarzysze wysunęli się z komórki i każdy poszedł do swój bryki.

— Już ja wiem, co to wszystko znaczy! — szepnął Jakóbek do Pawła. — Będziemy się bili. Dobrzem ja mówił, że to był wtedy zbójca. Ale teraz się już nie boję. Już ja się tu dowiedział, że te sępy na nas się gotują.

— Nie gadajno dużo, ale pilnuj swego!

Na drugi dzień rano towarzysze byli już na nogach i poszli z gospodarzem do alkierzyka na wspólną modlitwę. Co to był za rozczulający widok, gdy wszyscy klęcząc, prosili Boga, by ich zachował przy życiu!

Wnet potem pożegnali Ambrożego, który dał im do pomocy kilku tegich chłopaków i wyjechali.

---

## ROZDZIAŁ IX.

### PRZYGODA W LESIE.

Dzień był ponury i chłodny i bardzo zgadzał się z usposobieniem podróżnych, którzy zwiesiwszy głowy, rzadko kiedy odzywali się do siebie. Na gościńcu nie było widać żywej duszy.

— Oto już pokazuje się ten gaik! — przerwał milczenie Jakóbek, wskazując batem na las, którego zieloność dziwnie pięknie odbijała się od białości śniegu

— Tylko że w tym gaiku gnieźdzą się chytre sępy, co łupu spragnione! — dodał poważnie Paweł.

Wjechali do lasu. Szum wiatru, kołyszącego drzewami, sprawił na podróżnych przykre wrażenie. Każdy przeżegnał się z pokorą. Jakóbek wyprostował się i nasunął czapkę na czoło. Konie stąpały równo, nie zbaczając z drogi. Ujechali już kawał lasu, nie słysząc ani przed sobą, ani z boku żadnego szelestu, prócz smętnego szumu drzew.

Nagle rozległ się po lesie silny świst piszczalki, a w téj chwili wypadła z krzaków zbrojna tłuszcza tęgich chłopisków i rzuciła się pędem ku brykom.

Byli to zbójcy.

— Stój! — krzyknął najstarszy i przypadł do wozu, zatrzymując konie. Ale Jakóbek, jakby na to czekał, podciął konie tak silnie, że się porwały, a dyszel tak uderzył zbójcę w piersi, że się przewrócił.

Wtém pierwszy Teodor wyskoczył z wozu z dobytym pałaszem i wpadł między zbójców. Ci cofnęli się na chwilę, nie będąc przygotowani do odporu. Tymczasem opryszek zerwał się z pod wozu i przyskoczył do Teodora. Ale ten uderzył go płazem miecza tak silnie w ramię, że mu ręka obwiła.

— Za mną towarzysze! — zawołał znowu Paweł.

Wszczęła się zacięta walka. Zbójcy, jak srogie lwy, zawrzali gniewem, widząc przed sobą zbrojnych i nieustraszonych ludzi. Dobyli mieczów, uderzając na przeciwników z całą zaciętością. Szczęk broni rozlegał się po lesie. Na czoło towarzyszów wystąpił pot kroplami. Miecze świszczą w ich rękach, a dzidy migają w powietrzu, szerząc popłoch między zbójcami.

— Otoczyć ich! — krzyknął dowódca bandy zbójckiej, pieniąc się ze złości.

Ale wprawne oko Pawła poznało niebezpieczeństwo.

— Towarzysze, rozprószyć się! — zawołał, odskakując w bok. Ale w téj chwili potknął się o odłamek drzewa i upadł na ziemię.

— Giń śmiałku! — zawył z radości zbójca i przyskoczył do niego jak tygrys. — Już ostre żelazo blisko piersi, już w oczach ciemno mu się robi, ale nie tracąc jeszcze przytomności, uchyla się i zgrabnie podrywa nogi zbójcy, wydzierając mu z ręki nóż, cienki jak sztylet. Wszczęła się znowu walka na pięści. Dwaj zapaśnicy jak zwinne koty chwycili się za ręce i stanęli przeciw sobie. Dobywają resztek sił i mocują się. Twarz im nabrzmiała, a na rękach wystąpiły grube żyły.

— Na pomoc! — wyjąknął Paweł, szukając wzrokiem swoich. Ale zaledwie się obrócił, zbójca chwyta go za gardło i obala na ziemię.

Chrapliwy jęk przeraził towarzyszków.

— Bracia, nasz Paweł ginie! — krzyknął Teodor na pachołków.

Jakóbek zrozumiał o co chodzi i przybiegł z pachołkami do walczących. Na jeden rzut oka poznał, komu grozi największe niebezpieczeństwo. Jak zwinny wąż wyskoczył na kark zbójcy i skręcił mu w tył ręce, a po chwili odrzucił na bok, jak ciężką kłodę.

— Związać go! — krzyknął Teodor, podejmując ze ziemi dzidę i rozpędzając nią bandę zbójceją.

— Uciekajmy, ich coraz więcej! Zginiemy wszyscy! — wyjękli niektórzy zbójcy, cofając się w las.

— Takić hańby nie spodziewałem się! — zawołał jeden. — Szkoda starego; pewnie krótko się z nim sprawią. Ale trudno było go ratować, bo inaczej spotkałby nas wszystkich takisam los jak jego i leżelibyśmy związani jak barany.

— A tośmy ich dobrze przywitali! — wykrzyknął z radości Jakóbek, przyskakując do Pawła.

— Byłby mię wnet udusił, gdyby nie ty chłopcze! — odpowiedział tenże. — Bogu niech będzie cześć i chwała, że nas uratował, że nie przyszło do wielkiego rozlewu krwi i nikt nie zginął. — Wy zaś wierni chłopcy —

rzekł do sług Ambrożego — wracajcie do swego pana i opowiedzcie mu nasze zwycięstwo.

— A cóż zrobimy z tym brodatym? — zapytał Filomen.

— Mój towarzyszu! Życie i śmierć człowieka nie do nas należy. Niech go Bóg sędzi. Rozwiążcie i puśćcie go na wolność!

— Idź więc człowieku w spokoju! — rzekł Teodor do zbójcy — i pamiętaj, że kiedyś przed Bogiem będziesz musiał zdać rachunek z twych występków!

Zbójca powstał, powiódł smutnym wzrokiem wokoło i rzekł:

— Szlachetni wędrowcy! Wasz Bóg jest wielki! Jego imię niech będzie święte. Na imię tego Boga zaklinam się, że ostatni raz walczyłem jako zbójca; odtąd ja i moi przyjaciele, staniemy w szeregach obrońców waszej wiary!

To rzekłszy, odszedł w głąb lasu.

Towarzysze i pachołcy przybyli do wozów i ruszyli w drogę. Wesoło teraz spoglądali po świecie, a chociaż śnieg padał ciągle i droga była nierówna, przecież nie narzekali. Dojechali do „Patryi“. Pachołcy usiedli po dwóch na każdym wozie, opowiadając sobie drobne szczegóły z owej walki ze zbójcami. Towarzysze zaś, ukrywszy się w głąb wozu, zastanawiali się, jak to różne nieszczęścia sprowadzają ludzi często na dobrą drogę. Wreszcie ujrzawszy wieżę mirreńską, ucieszyli się, postanawiając sobie nie wspominać nic św. Mikołajowi o przygodzie w lesie.





BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA

## ROZDZIAŁ X.

# TOWARZYSZE ODDAJĄ ŚW. MIKOŁAJOWI PODARUNKI.



Św. Mikołaj dowiedziawszy się o powrocie towarzyszków, przywołał ich do siebie i rzekł:

— Witajcie moi mili! Wróciliście z różnych stron kraju i nakupiliście dużo podarków. Opowiedzcie mi, coście widzieli i słyszeli w świecie. Wiem ja, że na téj ziemi różni są ludzie. Dobre wzrasta pod błogosławieństwem Boga, ale i złe krzewi się jak kąkol; dobre jednak zwyciężyć musi, a złe zagać. Miną lata, lata długie; na świecie bożym wymierać będą pokolenia, a nowe powstawać; będą się ścierały i zmieniały pojęcia ludzkie, ale prawda boża zwycięży, bo nią opiekuje się Pan nad Pany; zajaśnieje ona blaskiem po całym świecie i ogarnie wszystkie narody. Wieki będą się na to składały, ale czemu są tysiące tysięcy lat u Boga? U Niego nie ma czasu, bo On sam nie powstał w czasie!

— Głęboki jest twój rozum, arcypasterzu, wielka twoja dusza, bo kochasz lud, bo jesteś ojcem biędnych, bo znasz ułomności ludzkie — zawołał Filomen. — Twoja szlachetna dusza przenika myśli i odkrywa często to, co my nieraz trzymamy przed tobą w tajemnicy. Ale nie mówmy o tém, bo nasz rozum za słaby, aby pojąć ten dar łaski, jakiego Bóg swym wybranym udziela. Oto wróciliśmy szczęśliwie z darami i oddajemy je dla maluczkich. Są tu cukierki i przysmaczki, szabelki, hełmy, koniki, trąbki i inne zabawki dla chłopców; są laleczki, wstążeczki, paciorki, kóleczyki, chusteczki i piękne fartuszki dla dziewcząt. Nie brak piszczałek i innych figielków. Są ciepłe sukienki, kożuszki na zimę i ładne buciki, są także koszulki i pończoszki — wszystkiego

jest podostatkiem, niczego nie braknie. Dużo, bardzo dużo jest tych drobiazgów, bo téż to wielka radość ma być dla tych dzieci, co cały rok na to czekały.

— Dziękuję wam, moi mili! — rzecze biskup z uśmiechem, patrząc na stosy złożonych podarków. — Jakże to wszystko piękne i jak trafny dobór! Widzę, że i między tymi rzeczami z każdym rokiem coś nowego przybywa. Jak to wszystko na świecie kształci i doskonali się. Dawniej nie było tyle potrzeb i wydatków; wszyscy przestawali na małym. A dzisiaj każdy wymaga więcej; każdy chce żyć dobrze, wygodnie. Te potrzeby czasu odgadują i wynajdują przemysłowcy, fabrykanci i kupecy, i dostarczają coraz to nowszych towarów, a wielu je nabywa, chociażby się bez nich obeszło.

Ale pomówmy teraz o czém inném. Oto, muszę się podzielić z wami smutną wiadomością. W tych dniach odebrałem z Rzymu od Ojca św. pismo, że cesarz Dyoklecyan wydał rozkaz, aby prześladować chrześcian i zmuszać ich do pogaństwa. Z tego widzicie, że nastaną znowu ciężkie dla nas czasy, że poleje się krew niewinnie. Ale wiara Chrystusa i pod tym ciężarem nie upadnie. Ze spokojem zniesiemy największe męki, a w potrzebie oddamy i życie za tego, który nas powołał na wysoki urząd i powierzył opiekę nad wiernymi swymi sługami.

Towarzysze posmutnieli na tę wiadomość, a Paweł zawołał:

— Drogi nasz ojcze! My cię nie opuścimy i pozostaniemy ci wierni do końca dni naszego żywota. Jak pierwsi męczennicy z pogodnym obliczem wstępowali na stos płonący i między zgłodniałe dzikie zwierzęta, ofiarując ciało swoje ogniu i paszczy lwów, a ducha Bogu, tak i my nie ulękniemy się śmierci. Bądźmy jednak dobrej myśli. I burza przynosi pożytek. Nasza wiara rozpoczęła się męczeństwem tego, który ją przyniósł, a jego zmartwychwstanie przypomina nam zwycięstwo i chwałę. I dla nas więc nastąpią

dni pogodne; brzask tego jasnego poranku już bliski; a chociaż zła ręka nieraz silić się będzie na obalenie krzyża, okaże się w końcu bezradną i ustąpi.

— Miło mi słuchać twojej pięknej, proroczej mowy, zacny przyjacielu — rzecze biskup. — Wasza rada i pomoc dodają mi ufności i krzepią duszę; bez was nie wielebym zdziałał. Dlatego dziękuję wam za to przywiązanie, za trudy i pracę, dla dobra naszych wiernych owieczek niesione.

Tymczasem bądźcie mi zdrowi, a jutro o świcie, po ranniej modlitwie, idźcie znowu w świat i dowiadujcie się, gdzie okaże się potrzeba posilić biędnych, które dzieci były przez cały rok grzeczne i zasługują na podarki. Czyńcie to tak, by nie wiedziano, jakie jest wasze poselstwo. Dzieci niechaj pamiętają, że dobrze czynić: jest powinnością każdego człowieka — nagroda za dobre czyny jest tylko wzmocnieniem, a nagana i kara wstrząśnieniem jeszcze słabiej woli.

To powiedziawszy, pożegnał towarzyszków skinieniem głowy i pobłogosławił na drogę. Potem zamknął się w osobnej izdebce i modlił się długo i gorąco.

---

## ROZDZIAŁ XI.

### TOWARZYSZE ZNOWU W PODRÓŻY.

Kiedy na drugi dzień, nim jeszcze słońce poranne oświeciło mury cichego miasta, biskup w ubogiej swiej celi odprawiał modlitwę, gotując się do mszy św., towarzysze jego rozeszli się każdy w swoją stronę, zastanawiając się nad wczorajszą rozmową z księdzem biskupem.

Filomen obejrzawszy się jeszcze raz na wieżę kościoła mirreńskiego, zszedł z pagórka do małej wioski, leżącej w kotlinie. Zatrzymał się przed ubogą, niską chatką, przy której stała kobieta, upychając okna mchem i zwiędłymi liśćmi.

— Niech będzie pochwalony! — powitał ją nasz podróżny, uchylając czapki.

— Na wieki, wieków! — rzecze kobieta.

— Zabezpieczacie się przed zimą?

— Oj, tak, mój dobrodzieju, ale jakże się tu uchronić, kiedy nie ma za co? Dzieci nieopatrzone, prawie nagie, a tego chłopca nie mogę nawet posłać do szkoły, bo nie mam go w co ubrać — odpowie kobieta, wskazując na malca, który stał obok niej.

— A chciałbyś się ty uczyć, mój chłopcze? — zapyta podróżny.

— Oj, chciałbym, jegomościu — odpowie chłopak, całując go w rękę.

— A umie on pacierz? — pyta dalej kobiety, głaszcząc chłopca po głowie.

— A jakżeby to było, żeby się nie uczył modlić? Kto za młodu nie nauczy się chwalić Boga, tego w starości chyba bięda nauczy.

— Dobrze, mój chłopcze! Pamiętaj o Bogu, to ci zawsze błogosławić będzie. Na ubóstwo wasze, moja gospościu, patrzy Bóg okiem miłosiernym; znoście je z pokorą, cierpliwie, a wejrzy na was okiem litości i niespodzianie ześle pomoc. Tymczasem przyjmcie odemnie kilka złotych, sprawcie chłopcu ubranie i poślijcie go do szkoły. — To powiedziawszy oddalił się spieszenie, nie czekając na podziękowanie.

— Dobry zrobiłem początek — mówił do siebie, mijając kilka ładniejszych domów. — Już to święta prawda, że wiara w miłosierdzie i opatrność Boga krzepią biednych na duszy, i chronią od grzecznych myśli; tylko w głowach próżniaków rodzą się zaraźliwe choroby duszy.

Tego rodzaju myśli snuły się po głowie młodego towarzysza, a nim przerwał dalszy wątek rozmyślań, doszedł do pobliskiego miasta.

Już zmrok zapadał, gdy wszedł w główną ulicę. Przed oczami migotały mu światła lamp. W szarym cieniu występowały kamienice coraz wyższe i okazalsze. Ruch na ulicach się zwiększał. Turkot powozów i rozmowy głośne przechodniów ogłuszały go. Z okien wspaniałych domów biło jasne światło, a bogate wystawy sklepowe olśniewały oczy. Doszedł do rynku; jakaś smutna myśl owładnęła go, czuł się niezadowolonym, chociaż nie pojmował dlaczego. Stał przed dużą kamienicą, w której wszystkie okna były oświetlone i ujrzał wewnątrz dużo panów, siedzących za stołem. Zdjęty ciekawością, wszedł na dziedziniec i spytał odźwiernego, kto mieszka w tym domu. Ten zmierzył go oczami ciekawie i rzekł:

— Tu mieszka bogaty pan, co zajmuje się urządzeniem widowisk dla dzieci.

Wiadomość ta nie bardzo spodobała się widać Filomenowi, bo nie rzekłszy, poszedł dalej.

— Ciekawym, jakie też moi towarzysze robią teraz spostrzeżenia i gdzie się obracają? — mówił do siebie.

Właśnie, może w tym samym czasie, Paweł odpoczywał w jednym dworku wiejskim, a gospodyni gościła go serdecznie. Kilkoro dzieciak zasiadło obok swego dziadka, który im taką opowiadał historyjkę:

„W bardzo dawnych czasach żył bogaty, ale skąpy król. Posiadał on skarby w dyamentach, rubinach, w złocie i srebrze. Czuł się najszcześliwszym wtedy, gdy mógł patrzeć na te nagromadzone skarby. Ale jak zwykle każdy skąpiec, tak i on nie mógł zasnąć spokojnie z obawy, aby mu ich złodziej nie zabrał.

Aby się więc zabezpieczyć, zawołał budowniczego i kazał mu wymurować z twardego i grubego kamienia bez

okien i żadnego otworu piwnicę, czyli skarbiec, z którego jedyne drzwi miały prowadzić do królewskiej sypialni.

Majster domyślił się, jakie przeznaczenie ma mieć ta piwnica, ale nie mówiąc, wykonał robotę należycie.

Teraz dopiero król odetchnął i był spokojny o skarby. Raz przyszedł do skarbcza, aby, jak zwykle, paść oczy widokiem błyszczących dyamentów i złota. Ale jakże się okropnie przeraził, gdy, wpatrzywszy się w jedną, złotem napelnioną beczułkę, zauważył, że pieniądze były naruszone i dużo ich brakowało!

Od téj chwili powróciła znowu jego dawna niespokojność i trwoga, a to tém bardziej, że nie mógł pojąć, kto i jakim sposobem zakrada się do skarbcza, kiedy zamki i pieczęcie były nienaruszone.

Po długich namysłach, jakby chwycić złodzieja, kazał pozostawiać wewnątrz skarbcza żelazne sidła. Rozkaz wykonano. Na drugi dzień poszedł do skarbcza i o dziwo! Przy jednej beczulce z pieniędzmi ujrzał ze szmat zrobioną postać ludzką, czyli pajaca w sidłach, i kilka sztuk złota na podłodze. To było dla niego prawdziwą zagadką. Nie tracił jednak nadziei i spodziewał się, że może zapomocą tego pajaca wykryje złodzieja. Rozkazał więc wystawić go na widok publiczny i postawić około niego żołnierzy na straży.

Ludzie zbiegali się na to widowisko, szeptaając do siebie, że król musiał postradać rozum, kiedy każe żołnierzom pilnować jakiegoś stracha.

Pod wieczór, gdy zgraja uliczników się rozeszła, przejeżdżał około straży jakiś młody woźnica, wioząc na osłach kilka skórzanych worów z winem. Może przypadkiem rozwiązały się dwa wory i wino poczęło się lać strumieniem na ziemię. Woźnica począł w głos krzyczeć o pomoc. Na krzyk przybiegli żołnierze, ale zamiast dopomagać nieszczęśliwemu, nadstawiali swoje czapki i pili, śmiejąc się z niego. Z początku woźnica udawał zagniewanego, ale gdy widział,



że żołnierze sami inne wory rozwiązywali i winem zalewali gardła, szamotał się niby z nimi i dopomagał im w rozwiązywaniu worów. I na tém się skończyło, że żołnierze się upili i pokładli na ziemię. Wtedy ów woźnica, śmiejąc się w duszy, ogolił spiacęj straży pół brody po jednej stronie i umknął szczęśliwie z pajacem.

Gdy nazajutrz król się o tém dowiedział, wpadł w straszny gniew, ale widząc, że złodziej jest od niego mądrzejszy, udał spokojnego i ogłosił, że ten dostanie wielką nagrodę, kto mu opowie ciekawą historyjkę. Myślał, że ten sprytny filut zgłosi się do niego. I nie omylił się.

Przebiegły złodziej zjawił się rzeczywiście na dwór królewski, ale domyślając się pewnej zasadzki, przygotował się na wszelki wypadek. I gdy począł opowiadać przygodę ze żołnierzami, którym ogolił pół brody, król w téj chwili pochwycił go za rękę, ciesząc się, że ma złodzieja. Ale jakież było znowu jego zdziwienie, gdy ręką, oddzieloną od ciała, została w jego rękę, a filut uciekł!

Wtedy dopiero poznał, że wszelkie jego pomysły są niczem wobec figlów złodzieja. Nie chcąc sobie już dłużej suszyć głowy, ogłosił znowu i zapewnił, że jeżeli ten przemyślny złodziej stawi się jeszcze raz przed jego oblicze, nie tylko mu winę daruje, ale po królewsku obdarzy.

Teraz złodziej ufając jego słowu, stanął śmiało przed królem i rzekł:

— Oto jestem znowu na wezwanie! Spodziewam się, że mi, o panie, darujesz karę, gdy ci powiem, co mię zrobiło złodziejem. Mój ojciec był budowniczym twego skarbcu. Tyś nie wynagrodził go za robotę, a nawet kazałeś go obić, gdy prosił o zapłatę. Niedawno umarł on, a nas zostawił w nędzy. Przed śmiercią wyjawiał mi, że jeden z granitowych kamieni w skarbcu łatwo się z fug swoich da wysuwać. Poczciwy ojciec nie chciał z twych pieniędzy korzystać, bo jego zarobek wystarczał na nasze wyżywienie. Ale gdy po jego śmierci popadliśmy w nędzę, mnie głód

rodziny pchnął na drogę kradzieży. Zakradałem się do skarbcza i brałem pieniądze. A gdym spostrzegł, żeś poczynił zasadzkę, zrobiłem pajaca i podrzuciłem go w sidła na znak, że śmieję się z twoich środków ostrożności. Ja także wypłatałem figla żołnierzom i przyszedłem do ciebie z przygotowaną ręką z wosku, i mógłbym ci jeszcze dać dowody, gdybyś chciał, że niedostatek zmusza ludzi do tysiącznych pomysłów, wprawdzie niegodziwych, ale zręcznych.

Król zastanowił się nad słowami młodzieńca, a poczuwając się do winy i przyznając sobie, że źle używał do tego czasu skarbów, wypuścił go na wolność i hojnie obdarzył“.

— Ta historyjka poucza was, kochane dziatki, — dodał Paweł — że ludzie bogaci mają wobec ludzkości większe obowiązki niż ubodzy. Bogacz powinien używać swego mienia tak, aby i biedny miał z niego pożytek. Powinien zatrudniać robotników przy budowlach, przy uprawie ziemi i lasów, i nie krzywdzić ich w zapłacie. Pieniądze, które leżą w skarbcach, nie mają żadnej wartości, są jak skały, spoczywające na dnie morza; stają się pożyteczne dopiero wtedy, gdy z nich tysiące rąk przez pracę i zarobek korzysta.

Paweł zabawiwszy jeszcze kilka chwil we dworku, przyobiecał dzieciom, że je wnet odwiedzi, i poszedł dalej.

Teodor znowu przechodząc wieczorem koło pewnego domu w miasteczku, nadsluchiwał, jak matka, trzymając na ręku małego chłopczyka, opowiadała siedzącej obok niej córeczce, że biskup Mikołaj także w nocy kładzie pod poduszki grzecznym dzieciom podarunki.

I tak nasi podróżni chodzili od miasta do miasta, od dworu do dworu, od wioski do wioski; wszędzie dowiadując się pilnie o wszystkiém. Niejednemu żal serce ścisnął, gdy usłyszał, że dzieci są niedobre i leniwe do nauki. Wtedy pomyślał, że dzieci te zasługują, aby Mikołaj, zamiast z podarunkami, przyszedł do nich z wielką różgą.

Po kilku tygodniach takiej uciążliwej podróży, towarzysze wracali do domu. W drodze dochodziły ich smutne wieści. Podróżni, kupcy i inni ludzie, mówili im, że Dyoklecjan za namową Galeriusa, swego pomocnika rządów i obrońcy państwa, zakazał wyznawać religią chrześcijańską i zarządził srogie prześladowanie chrześcijan.

— Przewidywałem to nieszczęście — mówił do siebie Teodor, nadchodząc do małej kapliczki, rozwalonej w gruzy, a zbliżywszy się, rzekł do gromadki ludzi:

— Nie płaczcie moi mili! — Bóg zasmucił, to i pocieszycie.

— To prawda, kochany ojcze, ale nam już nie wolno się modlić i chodzić do kościoła, bo go zamknęli — odpowiedział jeden staruszek.

— Bóg patrzy w sumienia swych wiernych, a pobożnych myśli żaden tyran wzbronąć nie zdoła, bo to nie w jego mocy — rzekł Teodor, odchodząc.

Jednakże sam pograżył się w smutnych myślach i szeptał do siebie: Może i nasz biskup pierwszy nie uszedł srogiemu losu. Może w tej chwili w ciemnym więzieniu modli się za swych nieprzyjaciół i oddaje Bogu ducha. Boże odwróć od nas to nieszczęście i daj pomoc utrapionym!

---

## ROZDZIAŁ XII.

### SZCZĘŚCIE RODZINNE.

Kochane dzieci! Wasz młodziutki wiek życia jest najpiękniejszy. Do was uśmiecha się cały świat boży i wszystko was zajmuje, bawi. Ileż to różnobarwnych

myśli przemknie się przez dzień w waszych główkach! Do szczęścia nie wiele wam potrzeba; drobnostka wywołuje na waszych licach uśmiech i zadowolenie. Wam zawsze słońce świeci jasno, a chwilowy smutek i płacz koi pocałunek matki. Jakże cieszycie się, gdy ma was spotkać wesoła niespodzianka! Z niecierpliwością oczekuje dziewczynka tego dnia, w którym od mamy ma dostać nową sukienkę. Chłopczyk liczy te dni i godziny, kiedy ojciec ma wrócić z podróży i przywieść mu zabawkę.

Przypomnijcie sobie kochane dzieci tę chwilę, gdy was pierwszy raz miano wyprawić do szkoły. Jak was ta myśl niepokoiła, jak ciągle myślałyście o tém! Czyż chwila ta oczekiwania nie wydała wam się długą, kiedy miał was odwiedzić gość pożądany, kiedyście ojcu i matce miały wygłosić wierszyki na imieniny? O, pewnie wam serduszko biło w téj chwili głośno, gdyście szły z powinnowaniem, gdyście stanęły z podarkiem!

Takim to dniem oczekiwania jest dzień św. Mikołaja. Dzieci wyglądają go z niewymowną radością. I słusznie. Św. Mikołaj bowiem ma stanąć przed nimi z bogatymi podarkami, ma przynieść im słowa pochwały, ma je zachęcić do nauki, upomnieć, a może i skarcić.

Już na kilka dni przed jego przybyciem, toczy się gawędka o tym miłym gościu. Każdy ma coś powiedzieć na jego pochwałę, a wszyscy zgadzają się w tém, że to bardzo dobry biskup, że zna dzieci, chociażby ich nie widział i z nimi nie rozmawiał.

Pogadanka ożywia się, nic nie staje jój na przeszkodzie, bo czemże zajmą się dzieci, cóż może innego myśl ich zająć, kiedy na dworze ponuro, zimno i pobiegać do woli nie można? Kwiaty i trawy już dawno spoczywają pod ciepłym płaszczykiem śniegu, a ptaszki gdzieś daleko za morzami wyśpiewują innym dzieciom piosnki.

Rodzina już wcześniej wieczorem gromadzi się; w ciepłym pokoiku zasiadają starzy i młodzi, i opowiadają dzie-



BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA

ciom ucieszne historyjki. Miło upływają godziny, przy nauce i zabawie prędko biegnie czas. Jakże to przyjemny oku i sercu taki obraz szczęścia rodzinnego!

Taki to obraz i wzór rodzinnej zgody i szczęścia przedstawia się nam właśnie w pewnym domku, którego jedne okna wychodzą na ulicę, a drugie na ogród. W dużym pokoju zasiadła około matki liczna dziatwa. Dziewczęta robią pończochę, a chłopcy wyrabiają zadania. Jeden pyta drugiego, inny coś poprawia młodszemu, a wszyscy czynni, zajęci.

Na stole leżą książki, zeszyty. Matka także zajęta jakąś robótką, nadzoruje czynności dziatwy i od czasu do czasu rzuci okiem na tę małą rzeszę.

Wtém wbiega do pokoju starszy chłopczyk z wesołą minką, trzymając coś w ręku.

— Stasiu! — pytają dzieci, odrywając się od nauki — co ty masz?

— Chwyciłem ziębę! — odpowiada chłopiec.

— Pokaż nam, pokaż! — wołają wszystkie — niech się jój przypatrzemy. Jakiż to śliczny ptaszek, jak strojne ma piórka!

— Moje dzieci! Wy cieszycie się tym więźniem, a on drży z trwogi. Jego dziatki może go szukają i za nim płaczą! — rzecze matka. — Ty Stasiu nie zastawiaj sideł, i nie chwytaj ptaszków, bo i one, jak człowiek, cieszą się wolnością; rzuć im raczej czasem trochę ziarna, okruszyny chleba, a zrobisz dobry uczynek. Teraz, moje dziecko, zakładają poczciwi ludzie towarzystwa, których zadaniem jest czuwać nad tém, aby zwierzętom nie czyniono krzywdy, aby je ochraniało i pielęgnowano w czasie mrozu i śniegu. Na przestrogę dla dzieci, aby ptaszków nie chwytały i nie psuły im gniazdeczek, piszą ładne wierszyki i rozdają do czytania.

Posłuchaj tych kilku wierszyków i miej je w pamięci i sercu:

Ptaszkowi piórek nie wrywaj z skrzydeł,  
Ani go chwytaj dla uciechy swój,  
By mieć go w klatce, nie zastawiaj sideł,  
Choć pięknie śpiewa, ale cierpi w niój!

Nie psuj gniazdeczka kochanej ptaszynie,  
A kiedy w zimie mróz i wicher dmie,  
Posyp jój ziarna, niech z głodu nie ginie;  
Pan Bóg nagrodzi dobre serce twe!

— Puść więc tę ziębę, a ja wam opowiem piękną bajeczkę o tym ptaszku.

— Opowiedz nam mamo, opowiedz! — zawołały dzieci równocześnie. I kiedy Staś zawstydzony, wypuścił ziębę na wolność, matka poczęła opowiadać:

— Gdy kochany Bóg zrobił ptaszki, przyprawił im nogi do chodzenia, skrzydła do latania, a dzioby do jedzenia. Potem poustawiał je rzędem, rozrobił farby pędzlem i każdego ptaszka malował. Gołąbka ustroił na biało, kanarka ubrał na żółto, gilowi pomalował gardziołek na ceglasto, dumny paw dostał śliczne lśniące kółka na ogonie, a brzydkiego kruka, kawkę i wronę posmarował czarną farbą. I tak każdy ptak odchodził zadowolony, chwając swoje suknie. Gdy Pan Bóg już próżne miseczki z farb chciał sprzątnąć, wtedy przystąpił doń mały ptaszek, który stał skromnie na uboczu i nie chciał się cisnąć i rzekł z płaczem:

— Panie! zapomniałeś o mnie, czemże mię ustroisz, kiedyś wszystkie farby spotrzebował?

— Nie martw się, moje miłe stworzenie! — rzecze Bóg, uspokajając ziębę — W każdej miseczce pozostało na dnie jeszcze trochę farby. To mówiąc, maczał pędzlik w miseczkach i pomalował ziębę trochę na różowo, trochę na zielono, troszkę na żółto; tu zrobił paseczek, tam kropeczkę, tu króseczkę, i tak zięba dostała pstre kolory i cieszyła się więcej niż inne ptaszki.



Dzieci wysłuchały z zajęciem téj bajeczki, a jeden z chłopców podnosząc główkę do góry, rzekł:

— Dobrze zrobiłby św. Mikołaj, gdyby mi podłożył pod poduszkę farby do malowania. Malowałbym ptaszki, kwiaty, kościoły i pałace.

— A ja cieszyłabym się — rzekła dziewczynka, — gdybym dostała lalkę w sukienkach z prawdziwymi włosami.

— Co tam lalka! — powie znowu jój młodszy bratczek. — Jabym wolał konika, szabelkę, albo ołowianych żołnierzy. Ustawiałbym ich rzędem, po trzech w szeregu, a kapitana na przodzie.

— Moje dzieci! — rzekła matka — św. Mikołaj wie dobrze, czego któremu z was potrzeba, ale musicie pamiętać, że on nie daje podarunków za darmo, trzeba sobie na nie zasłużyć. Do dzieci, które sprawiają rodzicom zmartwienie, nie przychodzi, takiego domu unika, pośle chyba tego czarnego, co to stał przeszłego roku w kącie i mrugał oczami.

— Powiedz nam mamó coś o św. Mikołaju! Ja każdego roku coś o nim słyszę, dostałem już dużo od niego podarków, a nie wiem, na jaką pamiątkę to wszystko się obchodzi? — rzecze Staś.

— Powiem ci mój Stasiu, ale trochę później. Nadejdą wnet święta Bożego Narodzenia, to będzie więcej wolnego czasu. Cieszę się jednak, że sam dopominasz się tego, bo ten poczuwa się do wdzięczności, kto pragnie poznać dobrodzieja. Teraz zapamiętaj sobie to, że wiek twojego życia jest najpowabniejszy, że nauki, które pobierasz, mają się utrwalić w twém sercu, i pozostać do końca twego życia, że upomnienia i przestrogi rodziców powinny być dla cię świętém przykazaniem i wskazówką, abyś z drogi prawdy nie zbaczał, aby ci sumienie nie czyniło nigdy wyrzutów. Pamiętaj, że twoje czyny, postęпки widzi Bóg, patrzą na nie ludzie. Czyn więc tak, abyś i przed ludźmi nie potrzebował się wstydzić. Niechaj pycha i próżność

cię nie uwodzą, bo kto tylko dla przypodobania się drugim i dla pochwały dobrze czyni, tego uczynki przed Bogiem nie nie warte. Św Mikołaj spełniał miłosierne uczynki wtedy, kiedy go ludzie nie widzieli. Tak i ty mój synu bierz sobie przykład z tego świętego.

— A teraz kochane dzieci — rzekła matka, zwracając się do wszystkich — pójdziemy już spać; dosyć ubawiłyście się tego wieczora. Niechaj Stróż-aniół czuwa nad wami i daje wam spokojne sny, które sobie wasz umysł tak pięknie zwykł malować.

Na zakończenie powiem wam, że:

O! drogie, niewinne,  
Wy jeszcze nie wiecie,  
Że lata dziecinne  
Najmilsze na świecie;  
W nich każde zdarzenie  
Ma tyle uroku,  
Jak słońca promienie,  
Najmilszój z pór roku.

---

### ROZDZIAŁ XIII.

## NIESPODZIEWANY WYBAWCA.

Na skalistém wybrzeżu morskiém wznosi się długi budynek. Widok jego robi nieprzyjemne wrażenie. Okna, zabite kratami, skąpo przepuszczają światło dzienne, a nokoło murów chodzą na straży uzbrojeni żołnierze.

Patrząc zdaleka na tę budowlę, powiedziałby każdy, że to więzienie dla ciężkich zbrodniarzy i że z jego wnętrza

nie wyjdzie na świat żadne dobre słówko, chyba przekleństwo i szydercze śmiechy. Lecz bardzo omyliły się, toby tak sądził.

Przyszedszy bowiem bliżej, mógłby usłyszeć pobożne pienia ludzi, wyglądających wprawdzie mizernie, ale o pogodnym obliczu, na którym maluje się anielska dobroć i spokój.

Budynek ten jest w istocie więzieniem, ale dla pobożnych chrześcian mirreńskich.

Wejdzmy do jego wnętrza. Otwierają się żelazne drzwi; zaduch zimnego i wilgotnego powietrza przechodzi jak mrowie i tamuje prawie oddech. Na grubych sklepieniach muru występują smugi wilgoci. Z ciemnych zakątków wyskoczy czasem duża ropucha i usiedzie na stęchłej słomie, a nad okienkiem, którego szyby pokryte grubą warstwą pyłu, pająk snuje przędzę, nadając swój misternej tkance regularny okrąg koła.

W głębi obszernej kaźni siedzi liczna gromada więźniów. Po ich wybladłej twarzy i wytartej odzieży widać, że tu już dawno przesiadują.

Przypatrmy się bliżej tym postaciom, a właśnie teraz, kiedy promyk dziennego światła oświecił ich twarze, można dokładnie każdego zobaczyć. I kogóż widzimy? Oto w środku siedzi Mikołaj, biskup mirreński, a naokoło niego towarzysze: Paweł Rodyjczyk, Teodor Aszkalonita, Filomen i inni.

— Jakże to już dawno, ojeze biskupie, siedzimy tutaj! Może kilkaset razy słońce obiegło już ziemię naokoło, a cytryny i figi po dwakroć razy wydały owoce od czasu, jak się zamknęły za nami ciężkie drzwi tego więzienia, odkąd czekamy wyroku i gotujemy się na śmierć! Nasi współwyznawcy wiary w innych miastach już może przecierpieli doczesne męki i używają chwały w niebie, a my w więzieniu cierpimy i więdniemy jak kwiaty, ścięte kosą na łące — rzekł Paweł.

— Niezbadane są niebios wyroki, mój towarzyszu — odpowie biskup. — Nikt nie wie dnia ani godziny śmierci, dlatego zawsze na nią trzeba być przygotowanym. W tej chwili stanąłbym chętnie przed sąd Boga, oddałbym z ochotą ciało na pastwę płomieni, byleby mi tylko mogło być pozwoloném powitać i pożegnać mój lud ukochany, przemówić do niego, zagrzeć ciepłem wiary i wpoić weń ducha wytrwałości w cierpieniach. Jakże czułbym się szczęśliwym, gdybym jeszcze przed śmiercią mógł widzieć ten kraj oczyszczonym z świątyń bałwochwalczych, a na ich gruzach zobaczyć kościoły z krzyżem Chrystusa!

— Oj, i to nastąpić może, i to wkrótce! — rzecze jeden z więźniów. — Nasłuchałem ja się dosyć rozmowy żołnierzy, co nas pilnują. Mówili oni do siebie, że teraz ciężko żyć na świecie, że narody się buntują, że za pieniądze to i cesarzem można zostać, i że się na coś wielkiego zanosi. Słyszałem także, jak sobie mówili, że cesarz sam nie może sobie dać rady z tymi narodami i że musi coś nowego nastąpić. My tego może nie doczekamy, ale młode pokolenie pewnie będzie świadkiem lepszych czasów!

— Niech się dzieje wola boża — powie znowu Filomen. — Ale pozwól, ojcze biskupie, opowiedzieć sobie szczególny sen, jaki miałem dzisiaj. Śniło mi się, że nas wyprowadzono stąd do pogańskiej świątyni przed posąg Dyany (figura bałwochwalcza) i kazano mu oddawać cześć boską, a gdyśmy nie chcieli, ustawiono stos z drzewa, aby nas spalić.

— A może spełni się twój sen! — zawołali wszyscy.

Jakby na dany znak słowa te odbiły się echem o głucho ściany więzienia i w tej chwili otwarły się z łoskotem drzwi, a strumień światła z głębi przedarł się do więźniów.

Wszyscy struchleli i spoglądnęli po sobie.

W całym budynku rozlegał się niezrozumiały krzyk i szorstkie głosy. Wnet zabłyszczały wśród palących się

pochodni żelazne piki zbrojnych żołnierzy, zbliżających się do więźniów.

Biskup przybrał poważny wyraz twarzy i zawołał:

— Wybiła nasza godzina, gotujmy się na śmierć!

Więźniowie złożyli ręce i każdy szeptał pacierze. Wtém jeden ze starszych żołnierzy przystąpił do Mikołaja i zagadnął go:

— Ciekawym, czy wasz Bóg wybawi was. Na rynku miasta przygotowałem wam sutą biesiadę. Chodźcie więc za mną!

Więźniowie powstali milcząco. Żołnierze otoczyli ich. Na ulicy zbiegły się tłumy ludu, wydając okrzyki bóleści. Mikołaj wznosił oczy do góry i rzekł do ludu:

— Nie płaczcie! Krótkie są męki i cierpienia, a długa, bo wieczna za nie nagroda w niebie!

Daléj nie mógł mówić, bo jeden z oficerów stanął przed nim i krzyknął:

— Patrzcie na ten posąg Dyany i te oto stosy. Jeżeli mu się pokłonicie i bogom naszym złożycie ofiary, będziecie wolni, jeżeli zaś będziecie trwali w waszój ślepcocie, ciała wasze na węgiel się spalą!

— Słodsza nam męka za naszą wiarę, niż wolność za pokłony waszym bałwanom! — zawołali więźniowie.

Na dany znak przystąpili do nich żołnierze i kaci, skrzepowali i włożyli ich na stosy.

Żałosne jęki wyrwały się z piersi ludu. Matki z założonymi rękami klękły na ziemię i całując szaty Mikołaja, obejmowały swych synów i córki i żegnały się z ukochanymi na zawsze.

Żołnierze odpędzili lud od miejsca stracenia. Już smolne łuczywo miało się zapalić, już miała wybuchnąć jasna łuna i krwawym blaskiem zajaśnieć na niebie, gdy wtém wszczyna się popłoch, a z tłumy dochodzi silny głos: uwolnić!

Żołnierze stanęli jak wryci w ziemię. Przez lud prze-

ciska się jakiś wojskowy i staje przed oficerem. Zapanowało grobowe milczenie. Z wytężonym wzrokiem każdy spogląda na przybyłego. Jakieś szczęśliwe przecucie obudziło się w sercach wszystkich. Wtém w jednej chwili wykrzykli żołnierze razem:

— Niech żyje cesarz Konstantyn! i złożyli hołd posłuszeństwa wojskowemu. Był to wysoki i przystojny mężczyzna.

Z jego bogatego munduru i świecących odznak lud domyślił się, że to posłaniec cesarski i wysoki urzędnik. Naokoło niego stanęło kilku oficerów i żołnierze.

Urzędnik spojrział po całej rzeszy, a wreszcie przystąpił do biskupa i rzekł łagodnie:

— W imieniu nowego cesarza Konstantyna ogłaszam wam wszystkim, że jesteście wolni! Nowy cesarz jest pobłażliwym dla waszjej wiary i zniósł prześladowanie chrześcian w całym kraju. Opuśćcie więc to miejsce stracenia i głoście jego dobroć.

Na te słowa wszystkim rozjaśniło się oblicze i łzy radości stanęły każdemu w oczach.

— Niech żyje cesarz Konstantyn! — wykrzykli powtórnie żołnierze.

— Niech mu Bóg da zdrowie i naszemu biskupowi! — zawołał lud wokoło i rzucił się do kolan św. Mikołaja, całując jego szaty.

Biskup zaś błogosławiąc rzeszę, wznosił oczy do nieba i rzekł:

— Wielki jesteś Boże! Niech Twoja chwała rozchodzi się po całym świecie!

## ROZDZIAŁ XIV.

### ŚW. MIKOŁAJ PRZYCHODZI Z PODARUNKAMI DO GRZECZNYCH DZIECI.



Powszechna radość zapanowała między wyznawcami religii chrześcijańskiej. Cała Licya zabrzmiała jednym okrzykiem radości na wiadomość, że biskup mirreński i wszyscy więźniowie uzyskali wolność. Ze wszech stron garnęli się do świątobliwego biskupa pobożni, aby go powitać i słuchać jego świętego słowa. Mirreńczycy obchodzili dzień ten uroczystie, a w kościele zabrzmiały znowu hymny na cześć Chrystusa, do którego niedawno tylko w skrytości modlić się mogli.

Życzenia zatem pobożnego biskupa, jakie miał w więzieniu, spełniły się; mógł bowiem jawnie powitać swój lud i spełniać znowu miłosierne uczynki. To też ten lud błogosławił cesarza, że mu uwolnił biskupa, że wrócił mu tego dobrodzieja, którego imię daleko było znane, i cisnął się do niego, jak dzieci do ojca.

Dla całego zaś chrześcijaństwa nastał czas szczęśliwy, czas jego rozkwitu. Duch pobożności wzruszał najtwardsze umysły. Do najdalszych zakątków rzymskich krajów zagłędała nauka Chrystusa, oświecała serca i łagodziła obyczaje. Teraz miała sztuka budownicza sposobność rozwijania i doskonalenia się, bo kiedy pogańskie bożyszcza i świątynie burzono, na ich miejscu stawiano bogate i ozdobne kościoły i kaplice. Mirra upiększała się, a dobrobyt ludu rozwijał się pod łagodnymi rządami.

Św. Mikołaj rozpoczął teraz dla swoich wiernych tém gorliwszą pracę. Coraz więcej stawał się dla siebie surowszym, a dla bliźnich miłszym i lepszym. Myślał tylko

o Bogu, więc Bóg też jego myśli uświęcał i dla zbawienia dusz ludzkich użytkował. Z towarzyszami odbywał podróże po kraju. Gdy zjawił się w jakiej wiosce lub miasteczku, gromadzili się około niego pobożni, by słuchać nauk, by z jego szczerobliwej ręki otrzymać wsparcie.

Raz przywołał do siebie towarzyszków i tak ich zagadnął:

— Idźmy między lud, osuszmy łązy strapionym, nasycimy ich chlebem, a dzieci, tulące się do łona matek, obdarzmy podarunkami!

I poszli w świat daleki, nie zważając na słoty i burze. Pilno im, bo wiedzą, że w niejednym domu głód i zimno dokucza. Spieszą przez puste pola i śniegiem zasypane gościńce. Spieszą, przejęci miłościąku biédnym, z głęboką wiarą w sercu, że Bóg im te trudy w niebie wynagrodzi, a pamięć o ich uczynkach miłosiernych uwieczni po wszystkie czasy i rozbudzi w innych chęć do naśladowania.

Świątobliwy biskup, poważny jak biblijny Abraham, toruje drogę. Przyszli do malutkiej miejsciny. Na ulicy prawie pusto; widać tylko tu i ówdzie przechodnia, który otulony i zgarbiony, biegnie za interesami.

— Biskup Mikołaj w naszym mieście! — woła mieszczanin do przechodzącej kobiety.

— Bóg go nam przysła! — odpowie kobieta, zatrzymując się. Oby tylko przyszedł do moich dzieci, bo jeszcze od rana nic nie jadły i trzęsą się od zimna.

— Pamięta on o wszystkich! — odrzekł mieszczanin i pośpieszył dalej.

\* \* \*

Już zmierzch zapada, a wiatr grudniowy świszczy i rozwiewa drobne pyłki śniegu. Na ulicy staje jakaś gromadka ludzi strojnie i dziwnie ubranych. W domach oczekują dzieci jakiegoś gościa; ciekawie spoglądają do okien, ale przez szyby trudno przejrzeć, bo na nich widać tylko srebrzyste wzory, niby kwiaty, zamki i góry, które mróz





BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA

wymalował. A któż to ten gość, którego wyczekują?... To św. Mikołaj z towarzyszymi! Czy to ten św. Mikołaj, biskup mirreński? O, nie pytajcie się, ale przypatrzcie mu się raczej i jego towarzyszom, którzy stanęli z nim w bramie przed jednym domem i coś sobie szepeczą!

Wtém dzwonek zadzwonił. Drzwi się otwierają, a wspinała postać z długą brodą kroczy naprzód — to św. Mikołaj. Za nim w białej sukience, o rumianej twarzy, z koszykiem na ręku, jak anioł piękny młodzian, rozgląda się z uśmiechem; obok niego staje starszy towarzysz, a inni ustawiają się w tyle.

W domu zapanował popłoch; dzieci biegną za matką. Nastaje uroczysta cisza. Biskup wita wszystkich pobożnym słowem: Niech będzie pochwalony!... Dzieci przybrały poważną minę, serduszka ich biją głośno. Najmłodsza dziewczynka, nie czekając wezwania, występuje naprzód, klęka przed biskupem i drżącym głosem odmawia pacierz. Wspinałe oblicze biskupa rozjaśnia się na widok pobożnego dziecka.

— Wstań dziecino! — rzecze biskup, głaszcząc dziewczynkę po jasnych włoskach. — Jesteś pobożna, umiesz pięknie paciorek, rośnij na pociechę Bogu i rodzicom. — Przybliżyła się także do niej drugi towarzysz i daje jej upominek. Przychodzi kolój na inne dzieci; św. Mikołaj rozmawia ze wszystkimi i odpytuje katechizmu. Każde mówi, co umie; biskup chwali, dopowiada, poprawia, uzupełnia, poucza, zaostrza rozumek dzieci i bawi się z nimi, jak dawny znajomy. Dzieci już go polubiły, wpatrują się swobodnie w niego, tylko żadne nie może zdobyć się na odwagę i popatrzeć wgląd pokoju, bo tam przy drzwiach stoi jakaś brzydka postać, której słabe światło lampy tém większej grozy nadaje. — Któż to jest ten czarny, ponury towarzysz tak dobrego i zacnego biskupa? Czemu on się nawet nie rusza, tylko od czasu do czasu mrugnie brzydkimi oczami i wystawi rogi? O! nie pytajcie się dobre dzieci, nie patrzcie

na niego, ale i nie bójcie się go; on wam nic złego nie zrobi, bo przed wami stoi św. Mikołaj i jego dobry towarzysz. Bądźcie i wy tak dobre, miejcie piękne serce, jak oni. Niechaj wady nie splamią waszych serduszek, a złe myśli niech będą od was zawsze daleko, jak ten brzydki towarzysz.

Dzieci wysłuchały pobożnie nauk św. Mikołaja i cały wieczór opowiadały sobie o tej niespodziance, jakiej doznały.

Takasama radość spotkała i inne dzieci. — W ciasnej i brudnej uliczce stoi ubogi, niski domek, z którego okien pada mdłe światło na śnieg, iskrzący się od mrozu. Św. Mikołaj kroczy prosto do domku, jakby go znał oddawna, bo nawet duży kundys, stróż tego domu, nie szczeka, ale biegnie naprzód do izby, by oznajmić przybycie gości. Kilkoro małych dzieciaków staje na progu i całuje ręce św. Mikołaja. Na białych ich licach występuje lekki rumieniec uciechy i bojaźni. Świętobliwy gość z pastorałem ośmiela je i przygarnia do siebie. Wypytuje z katechizmu: Modlitwy Pańskiej..., Aniele Stróżu..., i innych nauk kościelnych. Towarzysz drugi daje upominki. Wreszcie dzwonek zadzwonił, a całe towarzystwo wychodzi z izdebki i znika z oczu biednych mieszkańców na skrawku uliczki.

Ale czy też u wszystkich dzieci był św. Mikołaj? O! nie. Świat jest bardzo szeroki i długi, więc nie starczyłoby czasu, aby zaglądnąć do wszystkich. Zresztą i tak musiał się bardzo zmęczyć, gdy odwiedził niektóre dzieci; ale nie żałował tych mozołów, bo chciał je przekonać, że umie dotrzymać słowa, i że o nich nie zapomni.

Wprawdzie niejeden chłopczyk i dziewczynka czekali na jego przybycie i chcieli zobaczyć jego wspaniałe oblicze i śliczne szaty, ale ich oczekiwania były daremne, bo św. Mikołaj odwrócił wzrok, gdy przechodził koło tego domu, gdzie mieszkali.

A dlaczegoż to nie wstąpił? Pewnie dlatego, że nie chciał ich zawstydzić, że w roku byli niegrzeczni i sprawiali rodzicom i nauczycielom zmartwienie.

Inne dzieci grzeczne nie spodziewały się jego odwiedzin, ale za to w ich główkach roily się piękne myśli; były pewne, że w nocy, gdy będą spały, przyjdzie do nich ci-chutko i podłoży im pod poduszkę śliczny podarek. Myśl ta była już dla nich nagrodą i sprawiała im zadowolenie.

---

## ROZDZIAŁ XV.

### SNY DOBRYCH I NIEGRZECZNYCH DZIECI.

Już dawno pogasły światła. Każdy w głębokim śnie szuka wytchnienia i świeżych sił do jutrzejszej pracy. Nie przerywa ciszy nocnej, chyba od czasu do czasu odezwie się na wieży dzwonek zegara lub trąbka stróża no-nego. Księżyc ukaże się niekiedy<sup>o</sup> na niebie i bladym światłem rozjaśni spokojny świat boży i znowu ukryje się za skrawkiem chmury, która szybuje po niebios sklepieniu jak spłoszona owieczka O, jakże urocza jest taka noc zimowa! Jakże pięknie wygląda ten bielutki śnieg, którego drobne igielki błyszczą w świetle księżyca jak brylanciki!

Ale stokroć powabniejszy jest widok dzieci, układających się do snu po miłych wrażeniach, doznanych we dnie. Jakże ślicznie wyglądają wtedy, gdy lekki uśmiech igra na ich usteczkach, gdy wesołe oczka zaczynają się zamykać, a sen w ich główkach płatać i urywać i jak różnobarwne obrazy w latarce magicznej, co chwilę inne przybierać kształty!

Kładąc się na spoczynek, miały przed oczami postać św. Mikołaja, przypominały sobie, jak pięknie wyglądał i jak ten drugi jego towarzysz był dla nich uprzejmy. Myśli te zamieniły się wreszcie w senne marzenia.

Dzieci dobre i grzeczne, u których nie był św. Mikołaj, układały się do snu także z wielką uciechą, bo im serduszek mówiło, że pewnie jutro raniutko zobaczą pod poduszką jaki podarek. Nie widziały wprawdzie św. Mikołaja na jawie, ale sen przedstawił im go może piękniej, niż w rzeczywistości wyglądał.

Mały Staś, gdy zasnął, widział tegosamego biskupa, który wieczór z nim rozmawiał, tylko teraz we śnie wydawał mu się poważniejszy. Michasia, co przed chwilką rozprawiała z matką, spała już, a na jej twarzyczce malował się uśmiech. Widać, że miała sen przyjemny. Śniło się jej, że przed jej łóżeczkiem stanął św. Mikołaj, cichutko nachylił się i podłożył jej coś pod poduszkę. Helcia musiała mieć sen jeszcze ciekawszy, bo przez sen się uśmiechała i coś niewyraźnie mówiła. Zdawało się jej, że mama ustroiła ją w nowiutkie sukienki i zaprowadziła do wielkiej sali, ubranej w zieleń i wstęgi. Bardzo się cieszyła widokiem ślicznych strojów i kwiatów, a oczka zaświeciły się jej z radości, gdy na sali zagrała muzyka. Widziała tam dużo małych panienek, które także świątecznie ubrane, przechadzały się z matkami. Poczęła rozmawiać z jedną koleżanką, gdy nagle przygasiły światła, muzyka się uciszyła, a w jednej stronie sali, za złotą zasłoną, ukazał się św. Mikołaj z aniołem i po chwilce znikł. Wpatrywała się jeszcze w to miejsce, ale nic już nie zobaczyła — zwodniczy sen przerwał się jak nitka pajęcza i śpiącą Helcię uniósł gdzieś w inne strony. — Kubuś, wychowany w ubóstwie, nie wychodząc nigdy daleko od domku rodziców, nie widział różnych pięknych rzeczy, jakie mają bogaci ludzie lub kupcy po sklepach. To też na długo zapamiętał sobie ten dziwny sen, jaki miał właśnie tej nocy, we wilią św. Mikołaja. Zdawało mu się, że jakiś piękny młodzian zaprowadził go na wysoką górę, na której stał pałac, bardzo wspaniały. Naokoło niego rosły drzewa, których liście świeciły jak krople rosy w świetle słońca. Na gałązkach tych cudnych drzew

siedziały strojne ptaszki i śpiewały. Wokoło tego czarownego pałacu rosło mnóstwo różnobarwnych kwiatów, wydających woń upajającą. Szeroka ścieżka, wysłana kobiercami, prowadziła do wnętrza pałacu. Kubuś zachwycony tém wszystkiém, szedł nieśmiało za towarzyszem do pokojów, patrząc ciekawie na kosztowności. Oczy zabłyły mu na widok złota, które przed nim leżało. Pochwycił jeden pieniądz w rękę i zacisnął pięści. Wtém dużo dzieci wybiegło naprzeciw niego i powitało go radośnie.

— Patrz, jak tu ślicznie, jak nam tu wszystkim dobrze i wesoło! Chcesz tu z nami zostać? — zapytała go jedna dziewczynka.

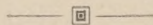
— O, nie! — zawołał zmieszany chłopczyk — ja wolę przy swojej matusi — dodał i począł płakać. Płacz ten przez sen zbudził go, a zaledwie otworzył oczy, popatrzył do ręki, czy ma pieniądz, ale gdy przyszedł do przytomności, przekonał się, że to był zwodniczy sen. Właśnie w téj chwili zaglądnęło do okienka słoneczko, a chociaż jego promieni nie można było zobaczyć przez zamarznęte szyby, przecież miło zrobiło się Kubusiowi, że już dzień, tak go ten sen zmęczył i przestraszył.

Takie to i tym podobne sny miały dzieci dobre. A czy urzeczywistnią się one? Czy tych podarków, które widziały we śnie, nie zobaczą we dnie? Tak jest. Zobaczą i cieszyć się nimi będą w rzeczywistości, bo św. Mikołaj i jego towarzysze przynieśli je w nocy. Przybyli oni cichutko i tak prędko, jak dziątek sny i myśli były lekkie i szybkie. A czy to będą okazałe i kosztowne podarunki? Czy ujrzą i posiadą te dyamenty, o których we śnie marzyły? O, nie! Dzieciom nie trzeba brylantów, nie trzeba jedwabnych, ale skromnych sukienek, ciepłego i schludnego domku u drogich rodziców. Sen mara; w sny nie należy wierzyć, nie trzeba sobie główki zamącać marzeniami, nie trzeba pragnąć jakiegoś niedoścignętego szczęścia, ale trzeba starać się pozyskać sobie miłość rodziców, uczyć się i pracować, bo

praca jedynie i modlitwa wystarczyć mogą do szczęścia na ziemi.

Jakież zaś sny miały téj nocy dzieci niegrzeczne? Czy także przyjemne? O, nie! Sny ich były powikłane, męczące i przykre. Ze smutkiem i obawą, aby na drugi dzień nie wyciągły z pod poduszki różgi lub pręta, pokładły się spać. Upartemu Kaziowi zdawało się, że zabłąkał się gdzieś w gęstym lesie, i że zbójcy go napadli. Leniwy Antoś stał nad jakimś urwistym brzegiem wody, z której rozczochrane dzieciśka dobijały do brzegu, a brodaty dziad ciągle je na wodę odpychał. Łakomój Andzi śniło się, że stara czarownica wpychała dziewczętom chleb do gęby, a one się dławiły. Innego swawolnika ogrodnik bił kijem i krzyczał: Nie kradnij! — Jankowi, którego chłopcy nazywali „Ponurym Jankiem,” śniło się znowu, że ten czarny towarzysz, co to wieczór stał przy drzwiach, brał go na widły i ciągnął do ciemnej piwnicy.

Dlaczegoż to ich sny były takie nieprzyjemne? Zape-  
wne dlatego, że i myśli ich we dnie nie były dobre i mądre.  
A czy już nie można się spodziewać, że dzieci te się po-  
poprawią? I owszem. Do poprawy mają jeszcze dosyć czasu,  
bo są młode. Wszakże i dzikie drzewko, co nie ma rozumu,  
można uszlachetnić, ale trzeba sobie zadać pracy i sto-  
pniowo ciągle złe wykorzeniać, a dobre nauki i cnoty za-  
szczepiać.



## ROZDZIAŁ XVI.

### UCIECHA GRZECZNYCH A SMUTEK NIEGRZECZNYCH DZIECI.



Nazajutrz raniutko, gdy domownicy zabierali się do roboty, poczęły i dzieci przecierać oczy i skwapliwie zaglądać pod poduszki, szukając podarków od św. Mikołaja.



— Cóż to za śliczna książeczka, a ile to w niej ładnych obrazków! — zawołał Staś.

— Przeczytajno mi — rzekła matka — jaki napis ma ta książeczka!

— Zaraz mam! Na wierzchu stoi napisane: „Podarek od św. Mikołaja dla grzecznych i pilnych dzieci.“

— Widzisz mój Stasiu! Teraz nie potrzebuję ci opowiadać o św. Mikołaju, bo sam sobie z téj książeczki wszystko wyczytasz.

— A właśnie już pierwszy rozdział musi być bardzo ciekawy!

— A ty Franiu! — zawoła drugi braciszek — cóżś dostał?

— O! i ja mam nową tabliczkę i malowany rysik!

— Patrzajno mam, jakie piękne pończoszki i wyszywany fartuszek! — krzyknie równocześnie siostrzyczka Zosia.

— Co to za dobry ten św. Mikołaj! Szkoda, żeśmy go nie widzieli wczoraj wieczorem! Pewnie nie mógł już do nas zdążyć, a podziękowalibyśmy mu za te śliczne podarki — rzekł Staś.

— Moje dzieci — powie matka — św. Mikołaj nie wymaga podziękowania i pochwał; które dzieci obdarza podarunkami w nocy, do tych zwykle wieczorem nie przychodzi. Podobne wykrzyki radości i w innych domach.

— Jakież ja miałam piękne sny w nocy! Zdawało mi się, że byłam z mamą we wielkiej sali i widziałam św. Mikołaja i jego pięknego towarzysza — rzeczce Helcia.

— A może on ci coś przyniósł? Popatrzno pod poduszkę!

— Tak jest, są kółczyki i jedwabna chusteczka! Tegom sobie dawno życzyła! — zawołało dziewczę, przyglądając się tym podarunkom.

— A tobie Władziu, nic nie przyniósł św. Mikołaj? zapyta ojciec.

— O, i ja mam dużą książkę! — ja pierniczek — ja cukierki — a ja piórniki! — wołały inne.

I tak w każdym prawie domu rozprawiano cały ranek o św. Mikołaju. Wszystko się cieszyło i oglądało podarki. Niejedno dziecko nie mogło się wydziwić, jakim sposobem św. Mikołaj przyniósł mu właśnie to, czego potrzebowało i na co zasłużyło.

Dzieci niegrzeczne nie miały zapewne w tym dniu żadnej uciechy, a może spotkał je nawet wstyd i upokorzenie. W duszy przyznało się niejedno, że słusznie postąpił sobie św. Mikołaj, gdy mu przeznaczył na podarek różgę, związaną czerwoną wstążeczką. Pewnie niejednen chłopczyk pomyśli sobie: Już jabym nie życzył sobie różgi, choćby i złotą wstążką była związaną, bo różga zawsze na to, aby nią bić!

Jaki to wstyd był dla takiego leniucha i uparciucha! Nie śmiał nikomu w oczy popatrzeć. Gdy zasepiony szedł ulicą do szkoły, to zdawało mu się, że każdy czyta z jego czoła, jaki dostał podarunek. A gdy siadł w ławce między współuczniami, gdy usłyszał, jak dzieci sobie opowiadały, co otrzymały od św. Mikołaja, to on się rumienił ze wstydu, do żadnego nie chciał się odezwać i chował głowę pod ławkę, aby go który nie zapytał, co dostał. Ale to nie nie pomogło, bo każdy się domyślił, że dla leniucha tylko różga.

Ale dlaczego to chłopiec niedobry nie popatrzy nikomu śmiało w oczy? Czemu to jego oblicze w obecności nauczyciela tak smętne? Dlaczego to niegrzeczna dziewczynka, schwytna na wybryku lub kłamstwie, oczy spuszcza na dół i daje niezrozumiałe odpowiedzi lub zaczyna płakać?

Pochodzi to stąd, że niegrzeczne dzieci mają nieczyste sumienie; robi ono im wyrzuty, gdy coś zbroją.

Jakby to było pięknie, gdyby wszystkie dzieci miały spokojne sumienie i przed każdym śmiało i otwarcie mogły się wypowiadać ze swych postępów! Niejednemu zdaje się, że małe wybryki i przewinienia nie znaczą, ale to

jest błędem, bo jak mała plamka brudzi nową sukienkę i nie da się zmyć, tak każda wada szpeci serce i nie łatwo da się naprawić.

A któż to dał nam to sumienie, co nas chwali i sprawia zadowolenie, gdy dobrze robimy, a przeciwnie dręczy i niepokoi, gdy źle postępujemy? Bóg! Bóg dał nam tego sędziego i stróża naszych czynności! Bogu więc powinniśmy je zachować czyste i niesplamione.

Ale było niezawodnie wiele i takich dzieci, co wcale nie wiedziały, że jakiś św. Mikołaj chodzi po domach i rozdaje podarki. To też ze zdziwieniem przysłuchiwały się opowiadaniom innych o tym zwyczaju. Dlaczegoż to i do nich nie przybył ten biskup? Czy może ich nie kocha, czy zapomniał o nich? O, nie! Kocha on zarówno dzieci ubogich i bogatych rodziców i pamięta o wszystkich. Może za to na drugi rok je odwiedzi i obdarzy, a jeżeli nie, to miłość rodziców i błogosławieństwo Boga towarzyszyć im będą w dalszym ich życiu. A kiedy wyrosną, gdy zajmą między ludźmi piękne stanowisko, z przyjemnością będą wspominały pamięć rodziców i nauczycieli, co ich wychowali, co im dali naukę i wszczepili w serce chęć do pracy i zasady miłości prawdy i bojaźni Boga.

O, pamiętajcie, kochane dzieci, że lata młodości waszjej prędko przeminą, że do wieku zabaw i rozrywek chciałbyście w starszych latach wrócić, że przestrogi i nauki, jakieście w młodości słyszały, ciągle będą wam potem stały w pamięci.

Postępujcież więc tak, aby te wspomnienia z lat dziecinnych sprawiały wam zadowolenie i przyjemność i późniejsze troski życia osładzały.

Kto nie ma wesołych wspomnień z lat młodości, tego starsze lata są oschłe i posępne. Kto za młodu nie nabył chęci do pracy, kto nie nauczył się słuchać i wykonywać rozkazów starszych, tego starość, jeżeli jój doczeka, będzie ciężką; ten zapłacze za zmarnowanymi latami młodości.

Korzystajcie zatém z dziecinnych waszych dni, abyście w starości mogły powiedzieć:

„Piękne to były dziecięce lata,  
Kiedym zaledwie odrósł od ziemi;  
Myśl moja ku nim często ulata,  
Złocąc je snami, łzami cichemi.“

---

ROZDZIAŁ XVII.

BŁĘDNE ŚWIATEŁKO.

Ciemność nocy pokrywa miasta i wioski. Niebo, zasłonięte czarnymi chmurami, zapowiada dłuższą niepogodę. Wszędzie spokój i cisza; czuć tylko słaby podmuch ciepłego powietrza.

Krętymi ścieżkami przez pola i parowy kroczy kilku podróżnych.

Najstarszy idzie naprzód, omija uważnie rowy i kamienie i stawia kroki tak pewnie i śmiało, jakby od dzieciństwa znał tę drogę. W ręku trzyma latarkę, która jak ognik miga się i rzuca na kilka kroków mdłe światło.

Właśnie blask jój oświecił na chwilę twarz przewodnika.

I któż to jest? To Paweł Rodyjczyk, a za nim jego towarzysze, Teodor i Filomen, a w tyle Jakóbek. Oni niejedną już noc spędzili w drodze, więc i teraz nie zważając na ciemność, wracają od dzieci, którym ze św. Mikołajem rozdawali podarki. Spieszno im do domu i szkoda każdej chwili, a zresztą na tym obszarze nie ma żadnego domu, w którymby mogli przenocować. Droga wprawdzie gorsza, ale zato krótsza.

Minęli parowy i pagórki i zeszli na rozległą równinę, przez którą prowadzi ścieżka, wysypana żwirem.

— Jakie to obowiązki, mój Filomenie — przerwał milczenie Paweł — powołały tak prędko naszego biskupa do Mirry, że nie mógł razem z nami wracać?

— Nie wiem, ale musiało coś bardzo ważnego zajść, bo umyślnie wysłany posłaniec uspokoił się widocznie, gdy znalazł nas wszystkich w gospodzie Ambrożego. Mówił długo na osobności z biskupem i robił przytém smutne miny. Po téj naradzie, jak wiecie, biskup pożegnał się zaraz z nami, a nie chcąc nas widać martwić, sam pospieszył najkrótszymi drogami ku Mirrze. Pocziwy Ambroży, który nas cały rok nie widział, prosił, aby choć dzień u niego zabawił; biskup jednak wymawiał się i jak sobie przypominacie, nam pozwolił się jeszcze zatrzymać. Oby tylko jakie nieszczęście nowe nie spadło na nasze miasto! Zapytywałem tego posłańca, czy się coś złego w Mirrze nie stało, ale dał mi wymijającą odpowiedź.

— Co Bóg ześle, wszystko trzeba przyjąć z pokorą — odrzekł Paweł. — Ale nigdybym nie przypuścił, że po tak mroźnej zawiei, teraz będziemy mieli łagodne powietrze. Zdawało się, że zima będzie ostra, a tu mamy nagle odmianę; śnieg stopniał i wróciły znowu dni posępnej jesieni.

— To nie wszędzie tak, mój kochany Pawle — rzecze Teodor. — O kilkadziesiąt lub kilkaset mil od nas sroży się może zima i mróz dokucza ludziom.

— To prawda. Od położenia miejscowości i kierunku wiatru zależy często stan powietrza. W krajach, wystawionych na północ, nie zasłoniętych górami, panują zwykle ostre zimy.

Zaledwie Paweł tych słów domówił, szczególne zjawisko pokazało się w oddali.

— Co to było? — zapytał Teodor, trącając Pawła ręką. Jakieś światelko! — odpowiedział tenże. — Ale nie mogę pojąć, skąd ono się wzięło na tém bezludném i moczarnym miejscu? Czyżby to jaki człowiek coś zapalił?

— Oj, nie człowiek! — odezwał się Jakóbek i począł się niecierpliwie oglądać. — To pieniądze się przepalały. Kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, opowiadała mi o tém matka. Mówiła, że takie światełka ukazują się w nocy, gdy się pieniądze w ziemi przepalają, czyli czyszczą. Gdyby się jeszcze raz zjawilo, pobiegłbym zaraz za śladem, a pewnie wykopałbym dużo złota.

— Nie plećno takich niedorzeczności! — zawołali towarzysze i zamyślili się.

Wtém znowu zabłysło światełko. Jakóbkowi zaiskrzyło się w oczach, ale nic nie rzekłszy, popędził i znikł w ciemności.

Towarzysze pospieszyli za nim, ale uszedłszy kawał drogi, stanęli, nie wiedząc, gdzie się obrócić. Chcieli już wołać, jednak w téj chwili usłyszeli żalorny krzyk. Puścili się znowu pędem w stronę, skąd się głos odezwał. Wnet atoli poczuli, że nogi poczęły się pod nimi uginać i zapadać w błoto.

— Potopimy się! — krzyknął Paweł. — Tu coraz głębszy moczar! Latarka mi zgasła!

Tymczasem coraz wyraźniej dochodziły ich uszu jęki Jakóbka. Dobywali sił, ale za każdym krokiem grzęzli głębiej.

— Ratunku! — krzyczał Jakóbek. — Zły duch ciągnie mię w przepaść. Chodźcie na pomoc, bo mię ziemia pochłonie!

— A to nieszczęście! — wyjąknął Teodor.

— Nie, to kara za chciwość pieniędzy! Tą drogą do niego się nie dostaniemy. Zwróćmy się w bok, może trafimy na twardszą ziemię! — zawołał Paweł.

Rada okazała się skuteczną. Stanęli na suchszém miejscu.

— Co tu począć? — zapytał Teodor. — On się utopi!

— Bierzmy ziemię i trawę i róbmy do niego most!

Chwycili się roboty i wkrótce usłali małą groblę. Jeszcze kilka kroków przedzielało ich od Jakóbka, który wystawiając tylko szyję z błota, wydawał już słabe jęki.

— Chwyć się laski! — zawołał Paweł, nachylając się do nieszczęśliwego.

Jak tonący na morzu chwyta się słabiej deski, tak Jakóbek uczepił się laski rękami i przy pomocy towarzyszków wygramolił się z moczaru. Nie mógł stanąć o własnych siłach; drżał na całym ciele i dzwonił zębami.

Towarzysze wzięli go pod ramię i przyprowadzili na trawnik. Po chwili przyszedł do siebie.

— A co, wykopałeś pieniądze? — zapytał go Filomen.

— Nie żartujcie, moi drodzy! Okropne przebyłem męczarnie. Śmierć była już na ramieniu. Ale tak to bywa; kogo Bóg chce ukarać, to mu rozum odbiera.

— Prawda; mnie się także w głowie pomieszało i nie wiem, jak wyjdziemy z tego miejsca? — rzekł Paweł. Straciłem całkiem drogę. Idźmy, gdzie nas nogi poprowadzą.

Szli długo, otoczeni zewsząd ciemnością.

— A tośmy sobie skrócili drogi! Będziemy tak błądzili jak zaklęte duchy. Taki nieszczęśliwy wypadek jeszcze nam się nie zdarzył — rzekł Filomen, suwając nogi z trudnością. — Dobrze jam radził, abyśmy się nie puszczali pod noc tą drogą. Wszystkiemu jednak winien Jakóbek, że zachciało mu się w bagnie kopać pieniądze. Ale radbym przecież wiedzieć, co to było za światełko? \*)

— Niech go licho porwie! — odpowie Teodor. — Ja upadam ze zmęczenia, dalej już nie pójdę!

— Na to już nie ma rady; połóżmy się tu na trawie i czekajmy do rana — rzekł Paweł.

Usiedli i poczęli drzémać. Wtém znowu zabłysło w odległości światło. Wszyscy zwrócili oczy na nie.

— Jakóbk! Widzisz? Pędź za niemi! — zawołał Filomen, trącając go.

---

\*) Był to gaz, zwany błotnym. Tworzy on się podczas gnicia roślin w bagnach. Wydobywając się na wierzch, zapala się w zetknięciu z powietrzem. Gaz ten jest niezdalny do oddychania. Nazywają go także błędnym światełkiem.

— Nie takim głupi! Już mię nie zwiedzie! — odparł tenże. — Żeby mi się dyamenty pokazały, tobym się do nich nie ruszył, bo to sprawa złych duchów!

## ROZDZIAŁ XVIII.

### P U S T E L N I K.

— To inne jakieś światło, bo nie gaśnie! — rzekł Paweł, wpatrując się w dal uważnie. — Ale gdzie my jesteśmy? Mnie się zdaje, że już świta. Jakieś pagórki się odsłaniają. Co to za okolica? Idźmy do tego światła!

— A jeżeli to zbójcy ogień zapalili, to sami im w ręce wpadniemy? — zauważył Filomen.

— Ha! to powiemy, że taki miał być koniec naszego życia!

Szli razem, nie mówiąc nic do siebie. Tymczasem rozwidniało się coraz więcej; można już było rozpoznać przedmioty z dalszej odległości. Światło ciągle jaśniało.

— To w jakiejś chałupce się świeci! — rzekł Teodor, przysłaniając sobie ręką oczy.

— Pewnie to jakaś czarownica warzy zioła, aby nas zaczarować — szepnął Jakóbek.

— Dałbyś już pokój z twymi czarami! — mruknął Paweł. — Kiedyśmy tu przybyli, przekonajmy się, co to jest.

Przyszli wreszcie pod górę. Na jej wierzchołku stała rzeczywiście chałupka, a raczej pieczara, wykuta w kamieniu. Wdrapali się na górę i zajrzeli do okienka. Dziwny przedstawił się im widok. Na ziemi kłęczał jakiś starzec. Zapukali do drzwi. Po chwili starzec ów wstał, przeżegnał się i wyszedł z izby. Ujrawszy towarzyszków, skłonił



głowę i odezwał się ze spokojem: Co mi powiecie wędrowcy?

Paweł utkwiał wzrok w niego i tak rzekł:

— Zbłądziliśmy; całą noc tułamy się po bagnach i urwiskach, a drogi znaleźć nie możemy. Gdyśmy ujrzeni światło w téj chacie, przybyliśmy tu, zdjęci ciekawością, czy to ludzkie mieszkanie?

— Niby ludzkie, jak widzicie, chociaż ja już do świata żyjącego nie należę. Wstąpcie do téj chaty, a przekonacie się, czy prawdę mówię.

Towarzysze w milczeniu przestąpili próg téj tajemniczej pieczary. Na środku ujrzeni krzyż z kamienia, na którym był wyryty napis greckimi literami: „Kto w ciemności chodzi, nie wie kędy idzie“. Pod krzyżem leżała trupia głowa. W jednym kącie izby wysterczała skała, na której właśnie coś się ruszyło i zaszeleściało.

Towarzysze wytrzeszczyli oczy, i z trwogą cofnęli się. Wtém wrzaskliwy głos rozległ się po izbie: Śmierć!

— A czy nie piękny śpiew? — rzekł staruszek, przypatrując się także z uwagą przychodniom.

— Widać, że ja mam lepszą pamięć, niż wy. Zdaje mi się, że już drugi raz w życiu spotykamy się z sobą. Czy mię nie poznajecie? Czyście zapomnieli o przygodzie w lesie? Czy nie przypominacie sobie tego zbójcy, który wtedy godził na wasze życie, a któregoście wreszcie pokonali i związali? Chwilę tę błogosławię i wspominam jako wyraźny palec Boży. Wypadek ten, jak sobie przypominacie, natchnął mię innymi myślami. Porzuciłem niekzemne rzemiosło i poszedłem o zebrany chleb w świat. Długo błąkałem się między ludźmi; w kościołach rozpamiętywałem ze skruchą życie lat przeszłych, a czując po spowiedzi ulgę na duszy, schroniłem się w to odludne miejsce. Własnymi rękami zbudowałem tę pieczarę, układając kamień na kamieniu. O wygodę nie dbam; koza karmi mię mlekiem, a las dostarcza owoców. Ta oto papuga, którą z mo-

zołem przyswoilem, głosi mi często nad uszami owo: „Pamiętaj na śmierć!“ Tu mój kres życia; tu położę głowę, a w ostatnich tchnieniach zaśpiewa mi ten ptak: Śmierć! Żonę już pochowałem, a dzieciom przy pożegnaniu zostawiłem dobre imię, bom je opuścił jako pokutnik.

Poznaliście więc moje terażniejsze życie, poznaliście pustelnika, który was błogosławi, który w modłach wspomina także waszego biskupa.

Towarzysze, wrzuceni do głębi, skłonili się i wyszli, a papuga jakby na pożegnanie zakrzyczała: Śmierć!

Pustelnik wyprowadził ich za górę i wrócił do swęj pieczary.

— I cóż wy na to dziwne spotkanie? — zapytał Paweł towarzyszów, gdy już wyszli na równą drogę. — Czy owe błędne światelko nie było dla nas wskazówką, że niedocieczone są wyroki niebios, że zatrzymaliśmy się na tym moczarze dlatego, abyśmy ujrzeli człowieka, który grzeszne czyny oplakuje i przygotowuje się do życia pozagrobowego?

— Jam się nic nie odzywał — rzekł Jakóbek — alem go zaraz poznał. Pamiętam dobrze, jak mu wtedy usiadłem na karku i dusilem. Ale niech mu Bóg grzechy odpuści, kiedy się poprawił.

Tak rozmawiając, ruszyli w podróż i przybyli po kilku dniach do Mirry.

Ale jakaż boleść ogarnęła ich, jakże przerazili się okropnym widokiem, który im się odsłonił, gdy wchodzili do miasta! Ujrzeli na ulicach matki, zanoszące się od płaczu. Dzieci tuliły się do ich łona i wołały chleba. Tu wynędzniały starzec siedząc na gruzach, podnosił wzrok do nieba, szukając stamtąd pociechy i pomocy. Tam gromadka mężczyzn, stojąc na ruinach i szukając czegoś między zwałonymi belkami, radziła nad odnowieniem kościoła i pałacu biskupiego.

— Boże! — zawołał znowu jakiś mieszczanin — nasze miasto doznawało już różnych klęsk, ale takięj klęski po-

żaru nie pamiętają najstarsi ludzie. Biędny nasz biskup ucierpiał najwięcej, stracił w ogniu wszystko, a teraz nie ma nawet nędznej pościeli. Od kilku dni ciągle w drodze, zbiera jałmużnę i rozdaje ją głodnym. Gdyby nie jego zabiegi, nie dalibyśmy sobie rady.

Towarzysze z wyrazem smutku, przysłuchiwali się temu opowiadaniu, stojąc na uboczu. Mieszczanin spostrzegłszy ich, zawołał, przybrawszy weselszą minę:

— Chwała Bogu! Kiedy jesteście i wy, poczciwi ojcowie, to już nam będzie lżej i weseliej. Ale dziękujecie Bogu, żeście nie byli obecni podczas tego strasznego pożaru. Nam tu zdawało się, że ten święty ogień pochłonie ziemię i zniszczy wszystko.

— Nie upadajmy na duchu! pocieszał Teodor. Znajdą się dobrzy ludzie, co nam pomogą, resztę powierzmy Opatrzności nieba. Zapewniam was, że w rok najdalej odbuduje się świątynia Pańska i miasto. Nasze nogi wypróbowane — pójdziemy między ludzi, a nikt nie odmówi pomocy. Naszego biskupa znają w dalekich stronach — do niego zewsząd dobrodzieje z pomocą garnąć się będą.

Słowa te pociechy wzmocniły na duszy pogorzalców. Towarzysze pokrzepiwszy się, puścili się znowu w podróż.

Przepowiednia Teodora spełniła się. Biskup Mikołaj i towarzysze wyprosilili u okolicznych gospodarzy wsparcie w pieniądzech, drzewie i innych materiałach. Niebawem odnowiono kościół i pałac biskupi, a w mieście wznosiły się schludne domy.

W rok potem prawie ani śladu nie było z pożaru. Mirreńcy mieli znowu nowy przykład poświęcenia i gorliwości dla się ze strony swego biskupa i jego towarzyszków.

## ROZDZIAŁ XIX.

### ZWROT NA DOBRĄ DROGĘ.



Minęła smutna i długa zima. Ciepłe słońeczko stopiło śniegi i lody, a drobny deszczyk użyźnił ziemię, na której wnet zazieleniły się trawniki i gaje.

I dla dzieci nastały weselsze czasy. Mogły wybiegnąć na wolne powietrze i pobujać na kwiecistej murawie.

Właśnie gromadka chłopców stanęła na pagórku, z którego widać zieleniejące się pola wśród wijących się strumyków, i rozglądała się za miejscem, aby się zabawić w piłkę.

I kiedy to wesołe towarzystwo ustawiło się na dolinie, jeden z chłopców tak się odezwał:

— Nasz pan zapowiadał nam w szkole, że na przyszły tydzień, gdy będzie pogoda, pójdziemy na wycieczkę. Ciekawym, czy też i Jaś, syn naszej sąsiadki, co go nazywają „Ponurym Jasiem“ pójdzie z nami? Ja myślę, że go pan nie weźmie, bo się źle uczy, i jak mi chłopcy mówili, ptakom wybiera i psuje gniazda.

— Teraz nie rozprawiajcie o tém, ale niech każdy uważa i chwyta piłkę! Ja będę podrzucał do góry, a wy chwytajcie. Kto nie chwyci, to za karę musi uklęknąć na jedno kolano — rzekł Staś, najstarszy z dzieci.

Ale zaledwie jeden chłopczyk podrzucił piłkę, Staś zwróciwszy się w stronę, gdzie w oddali kwitły małe krzaki, zawołał, pokazując palcem:

— Patrzcie, co to za chłopak błąka się w tych krzakach!

— Oho, to pewnie „Ponury Jaś“! On szuka młodych ptaszków. Biegnijmy zanim, ale ostrożnie, żeby nas

nie zobaczył, skryjmy się w krzaki, a potem go chwycimy — rzekł Józio.

Dzieci pobiegły. Ale „Ponury Jaś“, bo on to był rzeczywiście, przeczniejszy od wszystkich, spostrzegł zasadzkę i uciekł do domu.

— Powiem ja to wszystko panu, a pewnie nie pójdzie z nami na wycieczkę — rzekł Antoś, wracając z towarzyszami na miejsce zabawy.

— Gdzieżeś to mój Jasiu znowu uganiał? Cały jesteś zgrzany i zawalany — rzekła matka. — Ja cię więcej nie będę biła, ale pamiętaj, że już kroku nie zrobisz bez mojej wiedzy. Próżnować ci nigdy nie pozwolę, będziesz robił, o ile tylko siły wydołają.

Chłopcu dziwno się zrobiło, że pierwszy raz za swój wybryk nie otrzymał surowej kary, jak się to zwykle działo.

Na drugi dzień dzieci zgromadziły się w szkole. Na pierwszej godzinie czytano powiastkę: „Litościwy Kubuś“. Kiedy dzieci opowiedziały cały ustęp, nauczyciel rzekł:

— Widzicie moje dzieci, jakim to dobrym chłopczykiem był ten Kubuś, jak litościwe miał serduszko dla tych bocianów, kiedy im do gniazda zanosił jedzenie, gdy jeszcze w pierwszych dniach wiosny nie miały na polu pożywienia. Kubusia tego spotkała za jego dobre serce wielka nagroda, bo kiedy dorósł, dostał w cesarskim ogrodzie, tak zwanym zwierzyńcu, miejsce głównego dozorca nad różnymi zwierzętami, jakie się tam chowają. Pewnie między wami — mówił dalej nauczyciel — jest taki, co inaczej do tego czasu robił, co biedne zwierzątka dręczył i piskłęta ptaszkom wybięrał. Ja nie chcę się dopytywać, który to taki, bo ja go znam, ale spodziewam się, że tego więcej nie będzie robił.

Po nauce dzieci rozeszły się do domu, łącząc się po drodze w mniejsze gromadki. Szedł i „Ponury Jaś“ ale sam, bo żaden z chłopców do niego się nie odezwał.

— Czemuś ty chłopcze tak smutny, pewnie cię w szkole ukarano! — zagadnął go na ulicy jakiś pan. — Chłopiec nie odpowiedział, ale przyspieszył kroków.

— Zaczekaj na mnie Józiu! — zawołał, biegnąc za jednym chłopcem. — Józio stanął, ale zaledwie Jaś zbliżył się do niego, odepchnął go i rzekł:

— Idź precz, ja nie chcę się z tobą wdawać, bo ty ptaszkom gniazda psujesz!

Jasiowi zrobiło się przykro i poszedł już sam do domu. Gdy wszedł do izby, był bardzo smutny. Matka zauważyła to, przybliżyła się do niego, z macierzyńską miłością pocałowała go w czoło i uściśliła serdecznie.

W kilka dni potem dzieci poszły z nauczycielem do pobliskiego lasu. Był między nimi i „Ponury Jaś“. Nauczyciel zajmował się nim szczególnie. Dzieci bawiły się w różne gry. Potem objaśniał im, jak to każda drobna istotka cieszy się życiem i miłą wiosną, jak to te malutkie ptaszki chwałą śpiewem Stwórcę i oganiają drzewa ze szkodliwych owadów. — Nie róbcieź dzieci żadnemu stworzeniu przykrości — dodał, zwracając się znacząco do Jasia i głaszcząc go po głowie.

Dzieci wróciły ze śpiewem ale i z dobrym apetytem do domu. I nasz Jaś był weselszy, powiedział nawet matce, że go pan pogłaskał. I dziwna rzecz; na drugi dzień raniutko ubrał się prędko, zabrał się do książki i pisał zadanie. Matce biło serce z radości, a twarz ję rozpogodziła się na widok chłopca, zajętego nauką.

— Mój Jasiu — powiedziała do niego — jesteś jedyną moją pociechą. Ojciec twój już dawno nie żyje. Kiedy umierał, mówił do mnie, że pragnąłby tylko tego, abyś wyrósł na dobrego człowieka. Pomnij więc na to życzenie twego umierającego ojca. — Słowa te trafiły Jasiowi do serca, bo rozplakał się wraz z matką na wspomnienie ojca.

— Moje dzieci! — rzekł znowu raz nauczyciel w szkole, czytaliśmy niedawno powiastkę: „Litościwy Kubuś“. Ta

powiastka poucza was, że wszystkie dzieci powinny mieć dobre serce. Tymczasem dowiedziałem się, że między wami są chłopcy niedobrzy, co jednego z was przezywają. Nakazuję wam tedy surowo, abyście tych przezwisk zaprzestali; wszyscy jesteście tu równi, powinniście się zgadzać i kochać.

W kilka dni potém przyszła do szkoły matka Jasia i tak zagadnęła nauczyciela:

— Proszę pana, mój Jaś zaczyna się odmieniać!

— Wiem i ja o tém — odpowie nauczyciel — ale postępuj pani z nim tak dalej, jak to już powiedziałem; do dobrego jeszcze daleko. Jak z zapuszczonej roli nie można w jednym roku wykorzenieć chwastu, tak téż potrzeba dłuższego czasu, aby z serca dziecka wyrugować złe narowy i wady.

Uwaga matki była słuszna. Jaś widocznie się poprawiał. Matka uradowana, dziękowała Bogu, że synka dozwolił sprowadzić znów na dobrą drogę. — Chłopiec téż stawał się rozmowniejszy i weselszy. Polubił naukę, bo bez napomnienia siadał do książki lub pisał zadanie. W szkole wywoływał się sam do odpowiedzi i z wesołą miną wracał do domu, gdy go nauczyciel pochwalił. Współuczniowie poczuli się do niego zbliżyć i z nim się zaprzyjaźnić. Zaprzestali na zawsze przezywać go „Ponurym Jasiem“.

Raz przyszedł on właśnie do tego Józia, co go to niegdyś odepchnął od siebie i rzekł:

— Mój Józiu! Pożycz mi téj książki, którąś dostał od św. Mikołaja, chciałbym ją przeczytać.

— Pożycz mu, pożycz — rzekł braciszek Józia — on ci się odwzajemni. A czy dostałeś ty co już od św. Mikołaja?

— Nie — odpowie Jaś i zarumienił się po uszy — ale mama mi powiedziała, że teraz coś dostanę.

Nadszedł dzień św. Mikołaja. Jaś był bardzo niespokojny, bo nie wiedział, czy ten miły gość do niego trafi. Ale św. Mikołaj już dawno wiedział o jego i innych dzieci

poprawie i przyniósł mu podarunek tak piękny, że był dla niego sowitą nagrodą za dawne czasy.

Podarkiem tym była książka p. n. „Sławni mężowie“. Jaś zaglądał często do niej w niedziele i święta i dzielił się wiadomościami z matką, czytając jój pilnie ustęp za ustępem. Gdy czego nie rozumiał, matka objaśniała mu, dodając swoje uwagi i nauki. Mały chłopczyzna takię nabył wprawy i zamiłowania w czytaniu książki, że młodziutki jego umysł zapalał się i zapragnął wejść w ślady sławnych mężów. Podobał mu się szczególnie obrazek, przedstawiający Jamesa Watta, Anglika, który to pierwszy użył siły pary wodnej do poruszania maszyn.

To téż i naszego Jasia, za ledwie podrośł i zmężniał po ukończeniu szkoły przemysłowej, oddała matka do warsztatu maszyn żelaznych i doczekała się z niego pociechy, bo syn wyćwiczywszy się w swém rzemiośle, został zarządcą w wielkiej fabryce żelaza.

---

## ROZDZIAŁ XX.

### U SCHYŁKU ŻYCIA.

Słońce miało się już dobrze ku zachodowi i oświecało tylko wierzchołki gór i lasów.

Na miękkiej murawie, pod wyniosłą palmą, siedział św. Mikołaj z towarzyszami. Oblicze jego, dawniej wesołe, teraz wyrażało smutek i zadumę.

— Spójrzycie moi drodzy — rzekł biskup do towarzyszów — na ową tarczę słoneczną, chylącą się za góry. Czyż ona nie przypomina nam późnych dni starości? Jak promienie zachodzącego słońca nie są już tak jasne i ciepłe,



tak i moje siły utraciły krewkość i świeżość. Czuję, że i moja lampa życia wnet zgaśnie. Ale dzięki Ci Boże — dodał, podnosząc oczy do góry, — że pozwoliłeś dożyć mi lepszych czasów i patrzeć na wzrost naszej wiary!

— Nie smuć się ojcie — rzekł Paweł — bo jak zachodzące słońce nie zaraz gaśnie, a jego łagodne światło po skwarze dziennym, orzeźwia przyrodę, tak i tobie Bóg użyczy jeszcze długich dni życia i dozwoli spełnić niejedno piękne dzieło.

— O, pragnę tego bardzo, mój Pawle — odpowie św. Mikołaj — bo wiem, że krótkie są dni naszego życia, a wieczność długa!

— A przecież wiele ludzi nie zważa na to, że po śmierci będą musieli zdać rachunek ze swych czynów, i zaślepieni szerzą złe — rzekł znowu Teodor. — Właśnie niedawno dowiedziałem się, że jakiś Aryanin rozgłasza błędną naukę wiary.

— A prawda, moi mili! — zawołał biskup. — Dobrze, żeś mi o tém wspomniał. W tych dniach wyjdę od was na dłuższy czas i udam się do Nicei, gdzie się ma odbyć wielkie zgromadzenie biskupów, czyli sobór. Na sobór ten ma przybyć także cesarz Konstantyn, który, jak wiecie, naszą religią chrześcijańską uczynił panującą w cesarstwie rzymskiem.

W kilka dni po téj rozmowie z towarzyszami, św. Mikołaj rzeczywiście puścił się w podróż i przybył szczęśliwie do Nicei. Miasto to, w północnej części Azji Mniejszej leżące, wyglądało teraz świątecznie, bo w jego murach zgromadziło się 318. biskupów. Było to r. 325.

Cesarz Konstantyn (panował od r. 324 do 337), który rzeczywiście stał się opiekunem chrześcian, który budował kościoły, opłacał nauczycieli i sam się w wierze chrześcijańskiej kazał oświecać — był także obecny na tym soborze.

Sobór ten stał się sławnym w historii, bo był pierwszym w świecie chrześcijańskim. Na nim wyjaśniono ar-

tykuł wiary o Panu Jezusie i potępiono fałszywą naukę, którą Aryanie rozsiewali.

Św. Mikołaj dał się i tu poznać i zwrócił na się uwagę wszystkich głęboką nauką i znajomością pisma świętego.

Kiedy sobór ten szczęśliwie się ukończył, a biskupi się rozjechali, wrócił i św. Mikołaj do Mirry i zasłynął jeszcze więcej cudami i miłosiernymi uczynkami.

Raz wszczęły się rozruchy w krainie Frygii, która leży także w Małej Azji. Cesarz Konstantyn wysłał trzech posłów: Nepocyana, Ursa i Herpliona z żołnierzami, aby ukarali i uspokoili buntowników. Kiedy posłowie ci przybyli do brzegów Małej Azji, żołnierze ich rozprószyli się po polach mirreńskich i wyrządzali gospodarzom szkodę. Mieszczanie mirreńscy, w obronie swego mienia, wybiegli do nich, aby ich ukarać. Już przyszło do bitki. Św. Mikołaj dowiedziawszy się zaraz o tém, stanął między walczącymi, uspokoił ich, a posłów wprowadził do miasta.

Właśnie wtedy zdarzyło się, że starosta mirreński kazał wyprowadzić na rynek trzech ludzi, aby ich stracić. Już ostre siekiery wisiały nad ich głowami, gdy w tém św. Mikołaj przyskoczył do katów i wyrwał im z rąk zabójcze żelazo i skazańców uwolnił. Posłowie zatrwożyli się o życie biskupa. Ale gdy widzieli, że starosta sam się zawstydził, przekonawszy się o niewinności tych ludzi, zachowali w swém sercu wielki szacunek dla św. Mikołaja.

Gdy we Frygii nastał spokój, posłowie wrócili do domu. Ale tu spotkało ich wielkie nieszczęście, albowiem oskarżeni o zdradę, zostali wtrąceni do więzienia. Gdy już na drugi dzień mieli być zabici, wzywali w nocy pomocy biskupa mirreńskiego. Św. Mikołaj przybył im na ratunek, i téjsamój nocy ukazał się przez sen Konstantynowi i rzekł do niego: „Wstań cesarzu, a trzech niewinnych wyzwól. Jeżeli tego nie uczynisz, Bóg cię ukarze!“ Cesarz spytał się: „Kto jesteś?“ „Jestem biskup mirreński!“ — odpowiedział św. Mikołaj i zniknął.

Konstantyn, zaniepokojony tym snem, kazał rano przywołać więźniów, a gdy zbadał sprawę, przekonał się, że posłowie ci rzeczywiście niesłusznie zostali skazani. Uwolnił ich i rozkazał, aby poszli do Mirry i podziękowali biskupowi, bo jemu zawdzięczają ocalenie. Przymiennie ofiarował św. Mikołajowi złotą kadzielnicę, wysadzaną drogimi perłami i parę złotych lichtarzy.

Jednego roku znowu powstały w całym kraju wielki głód i nędza. Mirreńczycy, ufni w cudowną pomoc swego biskupa, garnęli się do niego, błagając o ratunek. Św. Mikołaj zasiliał i pocieszał głodnych. A gdy wyczerpnięły się już wszystkie fundusze, sprowadzał zboże z dalekich krajów.

Pewien kupiec z wyspy Sycylii, która leży na morzu Środkowem, wybrał się na okręcie ze zbożem do Hiszpanii. Strudzony podróżą, zasnął. Nad ranem śniło mu się, że stanął przed nim biskup mirreński i targował się z nim o cenę zboża, a na zadatek dał mu trzy złote z poleceniem, aby mu zboże dostawił. Gdy kupiec ten się obudził i znalazł owe trzy złote w swym kieszeni, pojechał zaraz ze zbożem do Mirry. Zgłosił się do św. Mikołaja i opowiedział mu widzenie, pokazując otrzymane od niego we śnie pieniądze.

Pewni żeglarze na wzburzonym morzu, tonąc już w morskich otchłani, wezwali jego świętego imienia na ratunek. Św. Mikołaj zjawił się im w jednej chwili i ocalił ich, a ująwszy ster okrętu, uspokoił burzę i przyplłynął szczęśliwie do brzegu.

Wiele jeszcze innych cudów opowiadają dzieje o tym świętym mężu, którego imię już za życia stało się sławnym w całym świecie.

Czuając się bliskim śmierci, rzekł św. Mikołaj do zgromadzonych towarzyszy i innych księży:

— Bóg wnet powoła mnie do siebie, abym zdał rachunek z mojego życia. Czas, który przeżyłem z wami, minął niepowrotnie; widzę go jak we mgle za sobą. Żal mi umie-

rać, gdy pomyślę, że dużo jeszcze pozostało do zdziałania. Ale tak to bywa na świecie; nie ma człowieka, któryby przed śmiercią mógł powiedzieć: wypełniłem dni mego żywota i wszystkiego dokonałem! Przecież pocieszam się tą myślą, że wy, chociaż bezemnie, dalej pracować będziecie i pójdziecie drogą, na której razem postępowaliśmy; a chociaż praca wasza nie będzie miała u ludzi rozgłosu, to Bóg mile na nią spoglądać i błogosławić wam będzie. Żegnam was słowem ostatniem — dodał słabym głosem — i dziękuję, żeście mię przez całe moje życie radą i czynem wspierali, żeście roznosili po świecie prawdy wiary i skwapliwie spieszyli do tych, którym bięda i głód dokuczały.

Towarzysze ukłękli i całowali ręce świętobliwego biskupa, na którego obliczu zakwitnął dziwny rumieniec i opromienił spokojne jego czoło.

Głęboki żal osiadł w ich sercu, a rzewne łzy musiały zastąpić słowa, których wypowiedzieć nie zdołali. Tylko od czasu do czasu wyrывały się z ich piersi ciche łkania.

Św. Mikołaj po kilku chwilach wyciągnął ręce na pożegnanie, zrobił nad klęczącymi krzyż, gasnącym wzrokiem spojrział jeszcze na wizerunek Zbawiciela i zasnął na wieki, a czysta jego dusza uleciała przed tron Boga, aby w jego majestacie i chwale używać owoców wiecznej szczęśliwości.

Smutna wieść o jego zgonie rozeszła się wnet w mieście i w całym kraju i okryła żalobą wszystkie ludy.

Ubodzy i bogaci spieszyli zewsząd, aby nad zwłokami św. biskupa pomodlić się i uprosić sobie łaskę u niego przed Bogiem. Był to wspaniały i do duszy przemawiający widok, gdy dzieci w pobożnym nastroju smutku, złożywszy rączki, zносиły błagalne modły do Pana, by św. Mikołaj i w niebie o nich pamiętał.

Szczególniejsze także wzbudził uszanowanie jakiś obcy staruszek. Mlecznej białości broda spływała mu aż po pas, a poważne i pełne smutku oblicze pokrywała żółta, pomarszczona skóra. Starzec ten w niemém milczeniu upadł na

kolana i zatopił się w modlitwie. Był to dawny zbójca, a teraz od kilku lat wielki pokutnik i pustelnik, znany już oddawna towarzyszom.

Wspaniały i uroczysty był pogrzeb św. Mikołaja, a Mirra mogła zaledwie pomieścić w sobie tysiące ludu, zgromadzonego na oddanie ostatniej usługi swemu biskupowi.

Później w r. 1087, gdy Licya przeszła pod panowanie Turków, kilku mieszczan uprowadziło potajemnie ciało św. biskupa do Baru, miasta w Apulii we Włoszech, gdzie je arcybiskup Urson do kościoła św. Benedykta złożył. Wnet potem wybudowano kościółek pod wezwaniem św. Mikołaja i w nim pochowano ciało tego świętego na wieczny spoczynek.

---

## ROZDZIAŁ XXI.

### ZWYCZAJ ŚWIĘCENIA DNIA ŚW. MIKOŁAJA.

Oto kochane dzieci jest w krótkości skreślona historia żywota św. Mikołaja. Z niej widzicie, że ten święty i wielki mąż poświęcił się dla dobra ludzkości, i że przy każdej sposobności obdarzał dzieci podarunkami. Może nie były to takie podarki, jakie dzisiaj dają, może nie obdzierał ich w taki sposób, jak to obecnie robią, jednak to pewna, że dzieci kochał i o nich pamiętał. Dowodem tego jest owa pamięć na jego święte imię, które przez tyle wieków dzieci z taką czcią i uciechą wspominają.

Ze śmiercią zwykłego człowieka kończy się na ziemi wszystko; krewni, przyjaciele popłaczą trochę, porozmawiają i wnet zapomną. Na mogile rosną jakiś czas kwiatki,

siane i pielęgnowane ręką dzieci i krewnych, potem zwolna zakorzenia się chwast, pamięć o zmarłym słabnie, i wreszcie zacierają się na zawsze. Wtedy ptaszek chyba zanuci popiołom jego smutną piosnkę lub przechodzeń zmówi paciurek.

Ale inaczej rzecz się ma z mężami sławnymi, świętymi. Choć ich ciała w proch się rozsypały, chociaż setki lat spoczywają w grobie, przecież na ziemi, między żyjącymi oni żyją, doznają czci, ludzie o nich mówią, ich pomocy u Boga wzywają; krótko mówiąc, ich imię staje się nieśmiertelne.

Taką to sławę nieśmiertelną zjednał sobie św. Mikołaj u potomności, mianowicie u dzieci.

Wnet potem z różnych krajów spieszyli ludzie do grobu św. Mikołaja. Ciemni odzyskiwali wzrok, kalecy i chorzy przychodzili do zupełnego zdrowia.

Sława i cześć jego imienia rozszerzyła się naprzód na wschodzie u ludów greckiego wyznania i po dziś dzień się utrzymuje.

I u nas zachowuje się także piękny zwyczaj święcenia dnia św. Mikołaja. We wilią dnia tego świętego, t. j. 5. grudnia, można widzieć na ulicy wieczorem gromadkę ludzi, otaczających krocącego św. Mikołaja. Św. Mikołaj w strojnój szacie biskupiěj, przy nim młody jego towarzysz w białej sukience, dalej starszy mężczyzna, przypominający Pawła Rodyczyka, a w tyle brzydki djabeł — oto główne postacie téj gromadki.

Ale któryż z tych dwóch towarzyszy najbardziej wam się podoba, kochane dzieci? Czy św. Mikołaj z długą, piękną brodą i świecą infułą na głowie, czy ten drugi, brzydki towarzysz z rogami, przedstawiający postać złego?

Niezawodnie św. Mikołaj! bo on daje podarki i wynagradza za dobre — ten drugi grozi różgą i obiecuje karę.

A komuż to zawdzięczacie, że was św. Mikołaj chwali i wynagradza, jak nie rodzicom?

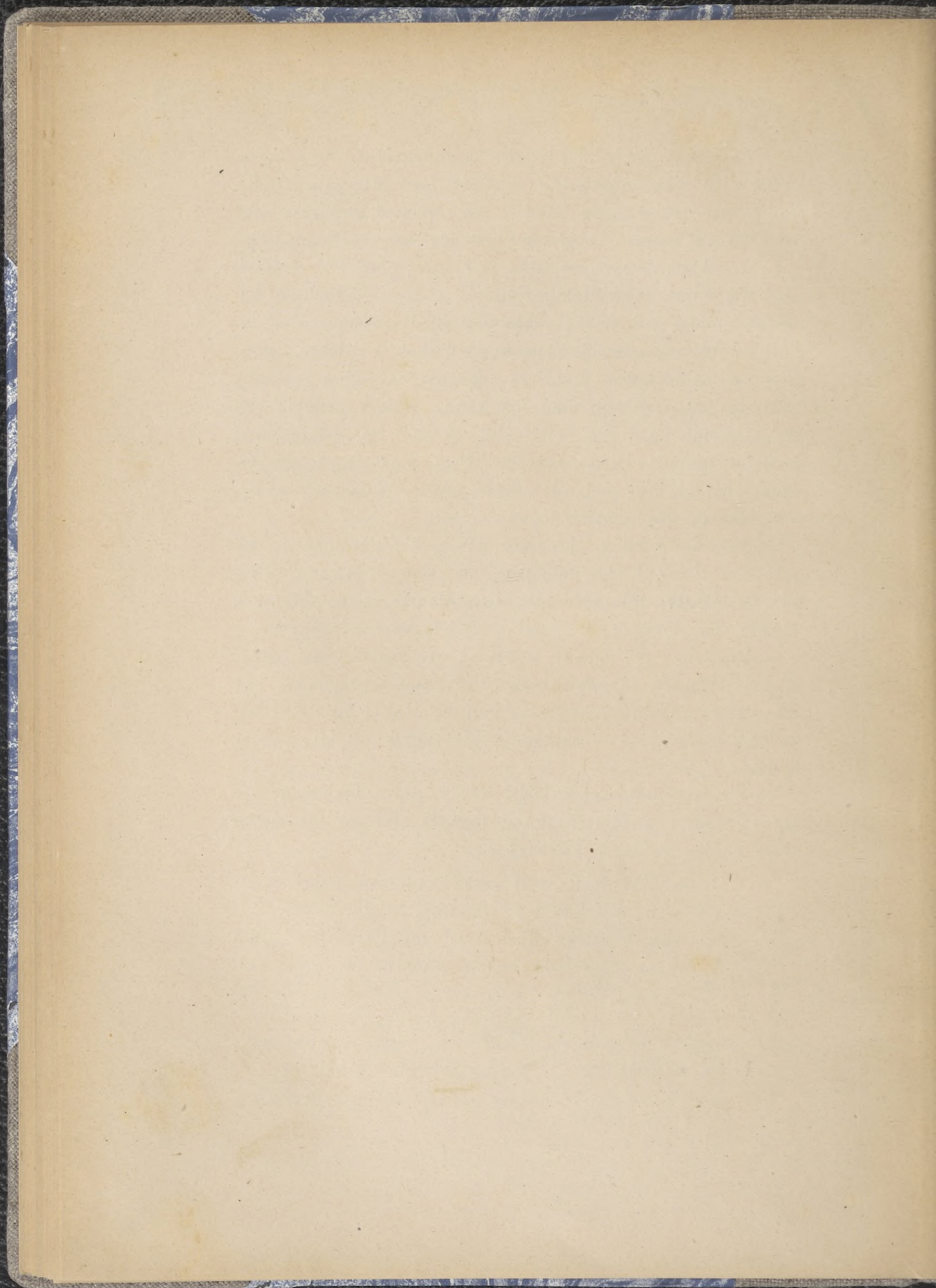
Ponieważ więc, kochane dzieci, rodzice tak o was dbają, obdarzając was nadto sami w dzień św. Mikołaja podarkami, albo też w nocy kładąc wam je pod poduszki, jak św. Mikołaj owemu biédnemu szlachcicowi z Patary rzucał ukradkiem do komory złote pieniądze; ponieważ sami odmawiają sobie niejednej przyjemności, a często o suchym kawałku chleba żyć muszą, byle was kiedyś zobaczyć na dobrej drodze i zapewnić wam między ludźmi dobre imię; to i wy powinniście pilnością, posłuszeństwem i miłością stać się godnymi tego dobrodziejstwa. Kiedy nadejdą ich imieniny lub urodziny, winnyście okazać im wdzięczność pamięcią na ten dzień uroczysty. Piękny wierszyk, wygłoszony ojcu, drobny podarek własnej pracy, ofiarowany matce, wyciśnie im łzę radości z oka.

Jak dla rodziny są pewne dni i chwile uroczyste, wesole, tak i naród czei pamiątki, jakie mu z dawnych czasów pozostały, lub obchodzi świątecznie dzień sławnych mężów, co się na polu nauki i wynalazków odznaczyli.

Bierzcie i wy udział w takich uroczystościach i przyzwyczajajcie się już za młodu czeić pamięć przodków; bo jak święta rodzinne rozweselają duszę, tak i pamiątki narodowe są drogimi szczytkami, które uprzytomniają dawne, świetne czasy.

Wiedział o tém przyjaciel dzieci, Stan. Jachowicz, że trzeba wam i w tym kierunku zachęty, dlatego pozostawił wam naukę w kilku wierszykach:

Dziateczki! dziateczki! jakże wam się zdaje,  
Wszakże miłe sercu święte obyczaje?  
Od was to zależy, kochać je możecie,  
A dobrze, poczciwie, będzie wam na świecie!



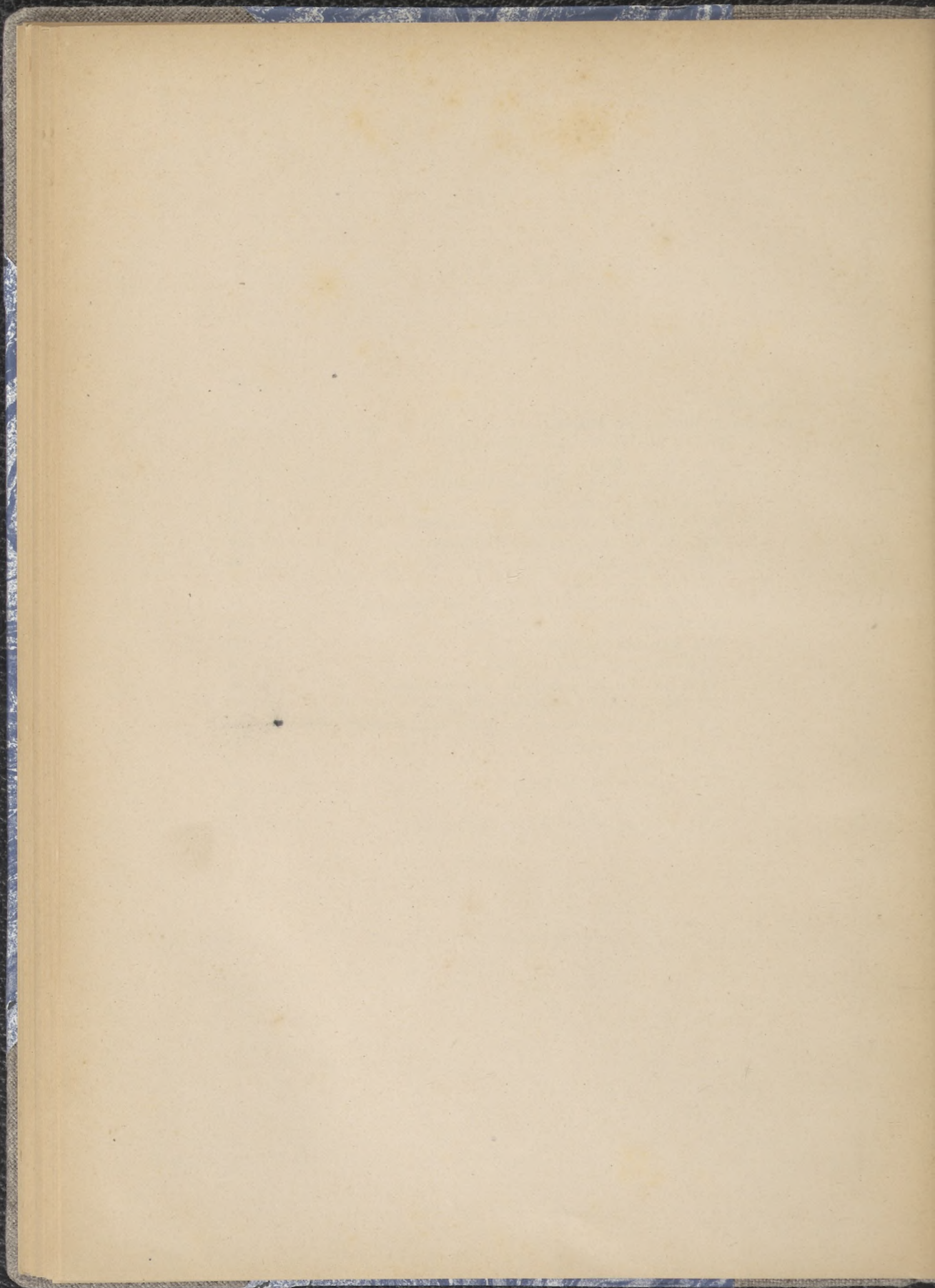


# TREŚĆ.



	Strona.
Przedmowa . . . . .	5
Rozdział I. Młodość św. Mikołaja . . . . .	7
» II. Św. Mikołaj w sukni kapłańskiej . . . . .	11
» III. Dom modlitwy . . . . .	14
» IV. Pobożna pielgrzymka św. Mikołaja . . . . .	18
» V. Szczęśliwy wybór. . . . .	23
» VI. Narada św. Mikołaja z towarzyszami . . . . .	26
» VII. Podróż towarzyszków po podarunki . . . . .	29
» VIII. W gospodzie . . . . .	34
» IX. Przygoda w lesie . . . . .	37
» X. Towarzysze oddają św. Mikołajowi podarunki . . . . .	41
» XI. Towarzysze znowu w podróży . . . . .	43
» XII. Szczęście rodzinne . . . . .	49
» XIII. Niespodziewany wybawca . . . . .	54
» XIV. Św. Mikołaj przychodzi z podarunkami . . . . .	59
» XV. Sny dobrych i niegrzecznych dzieci . . . . .	63
» XVI. Uciecha grzecznych, a smutek niegrzecznych dzieci . . . . .	66
» XVII. Błędne światelko . . . . .	70
» XVIII. Pustelnik . . . . .	74
» XIX. Zwrot na dobrą drogę . . . . .	78
» XX. U schyłku życia . . . . .	82
» XXI. Zwyczaj święcenia dnia św. Mikołaja . . . . .	87





# KSIĄŻKI

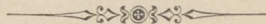
## KU NAUCE I ZABAWIE MŁODOCIANEGO WIEKU

wydane lub nabyte w większej ilości przez Księgarnię

**J. A. PELARA (H. Czerny) W RZESZOWIE.**

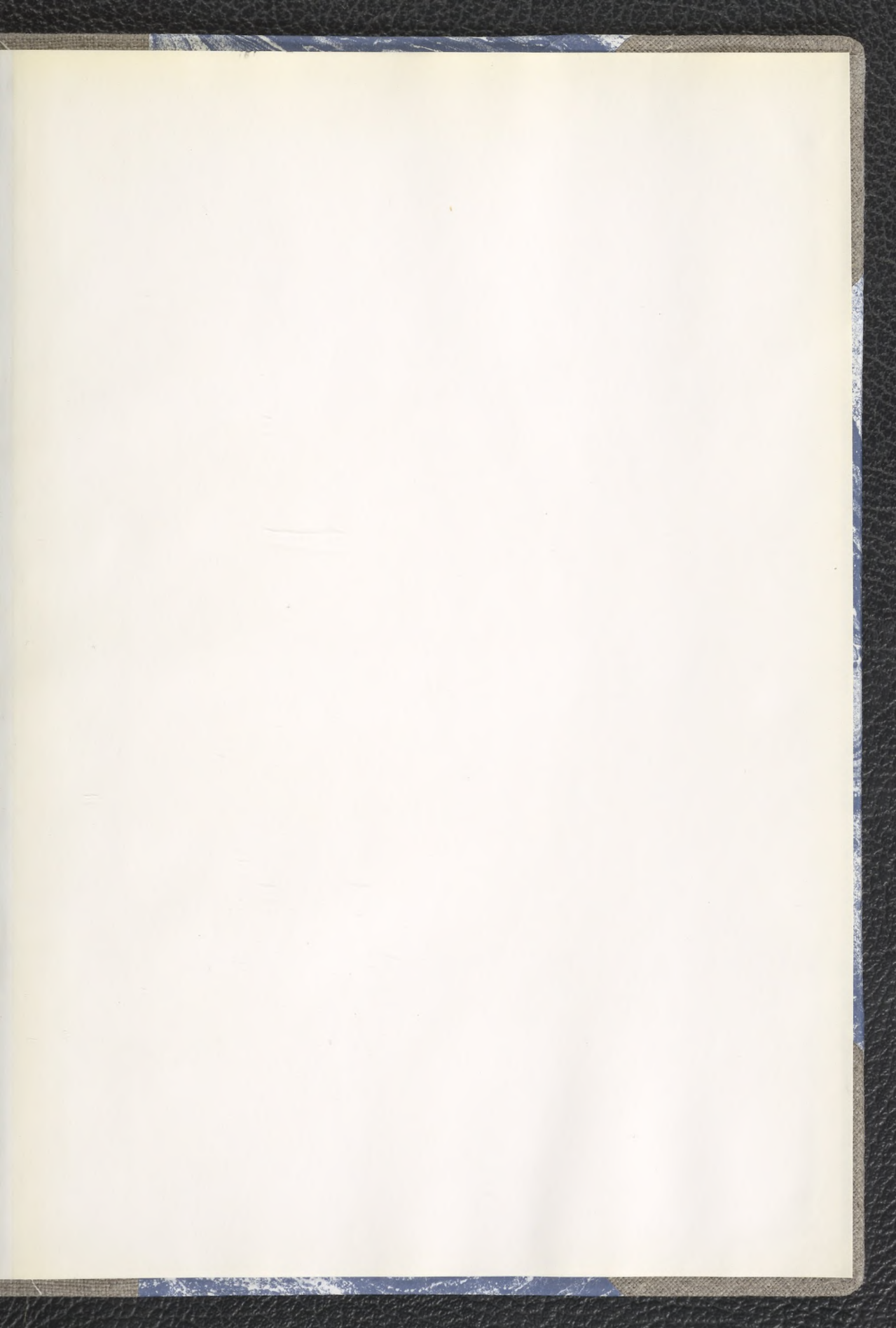
	Zlr.	ct.
* <b>Abecadło nowe polskie</b> , wydanie trzecie, kartonowane, ozdobione 24 rycinami pięknie kolorowanymi . . . . .	1	—
z rycinami czarnymi . . . . .	—	60
<b>Bosko</b> czarnoksiężnik, czyli zbiór najzabawniejszych sztuk czarodziej- skich, bez potrzeby wszelkich przygotowań i kosztów, gry to- warzyskie, oraculum geomanticum i t. d. . . . .	—	24
* <b>Chociszewski Józef</b> , Książeczka o Kościuszcze dla dzieci polskich . . . . .	—	8
— Książeczka o zwierzętach . . . . .	—	8
» » kartonowana . . . . .	—	10
— Mała historia polska. Wydanie drugie z rycinami . . . . .	—	8
» » » » kartonowana . . . . .	—	18
— Powiastki i bajki dla dzieci . . . . .	—	8
» » » » kartonowane . . . . .	—	10
— Skarb czyli najlepsze dziedzictwo, podług ks. kan. Schmidta. Wydanie drugie . . . . .	—	8
— Żywot Piusa IX. dla polskich dzieci . . . . .	—	6
* <b>Dumas Aleks. i Hoffmann</b> , Historia dziadka do orzechów. Dwa tomy, oprawne w jeden z 238 drzeworytami. Tekst polski i francuski (cena niżona) . . . . .	—	80
* <b>Estkowski Ewaryst</b> , Szkołka dla dzieci, dwa tomy, z 68 rycinami, (cena niżona) . . . . .	1	—
<b>Frings</b> , Rozmowy łatwe w 3 językach: polskim, francuskim i nie- mieckim, zastosowane do życia towarzyskiego młodych panien. Ósme wydanie poprawne . . . . .	—	60
<b>Kowalski Stanisław</b> , Rozrywki na dni świąteczne czyli opowiadania moralne pod rodzinną strzechą dla polskiej młodzieży z 6 obrazkami kolorowanymi, oprawne . . . . .	—	80
Toż samo bez obrazków . . . . .	—	50
— Sto pociech! Bajki i powiastki dla dzieci, wierszem i prozą z 4 obrazkami kolorowanymi, oprawne . . . . .	—	80

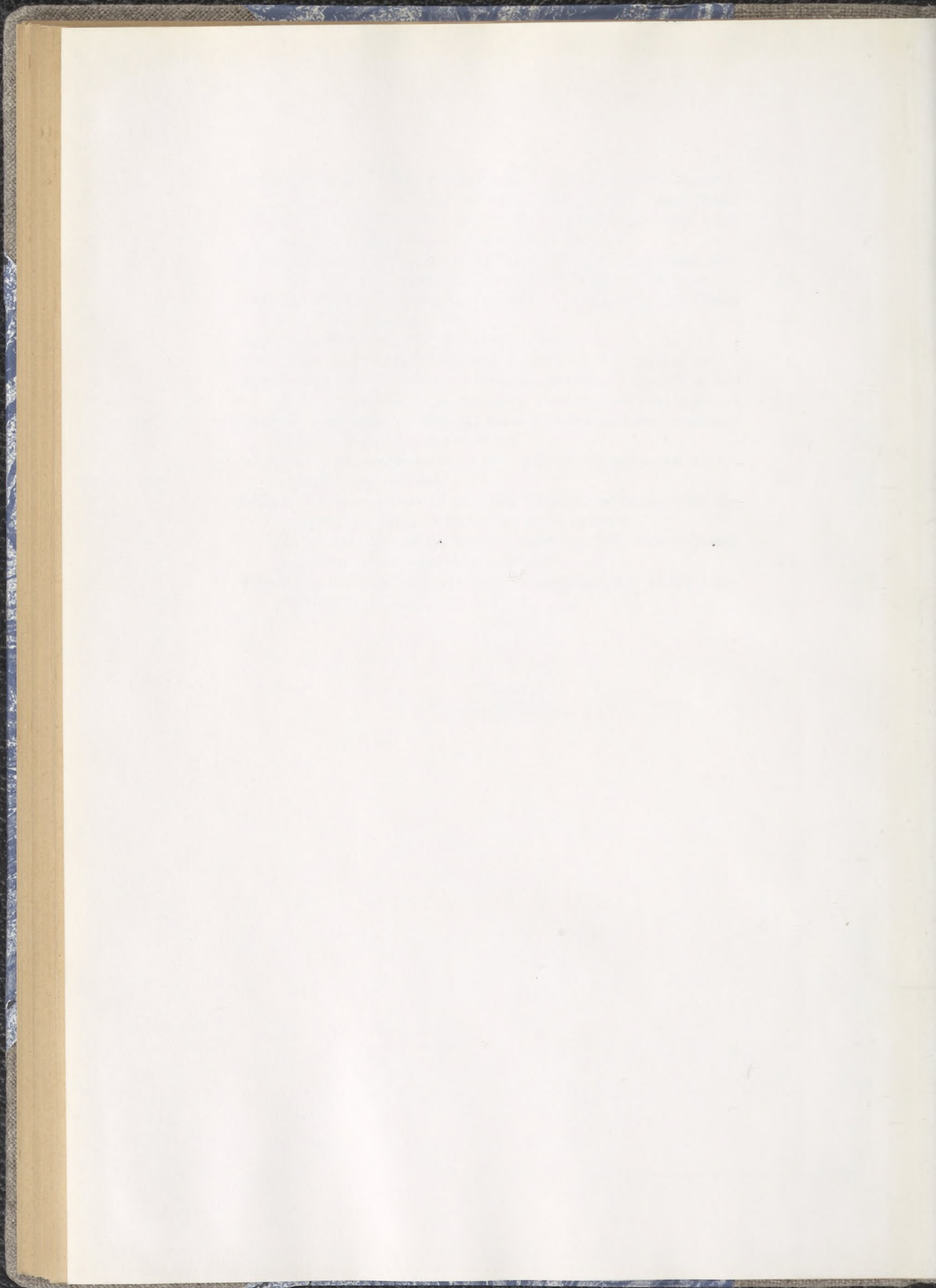
	Zlr. ot.
<b>Kowalski Stanisław</b> , Zbiór powinszowań dla dzieci, na imieniny, urodziny i na nowy rok, tak wierszem jak i prozą, wydanie drugie	— 40
<b>Krawecki Jan</b> , Dzieje Polski i monarchii austriacko-węgierskiej, z dołączeniem ważniejszych wynalazków i odkryć . . . . .	— 36
<b>Książeczka złota</b> dla grzecznych i pilnych dzieci, czyli początki czytania, ozdobione kilkudziesięciu kolorowanymi obrazkami . . . . .	— 60
<b>Ładnowski Aleksander</b> , Berek zapieczętowany, monodram ze śpiewkami w 1 akcie. Wydanie drugie . . . . .	— 20
<b>Markiewicz Michał</b> , Krótki opis kuli ziemskiej . . . . .	— 36
<b>Ministrantura</b> , czyli sposób służenia do mszy św. Wydanie piąte . . . . .	— 4
* <b>Nodier Karol</b> , Skarb bobowy i kwiatek groszku, powiastki ze 120 rycinami, po polsku i po francusku, kartonowane (cena niżona) . . . . .	— 40
* <b>Prawdzic Jerzy</b> , Kilka opowiadań i komedyjka dla młodzieży średniego wieku, z rycinami (cena niżona) . . . . .	— 30
* <b>Rozrywki na dni świąteczne</b> dla dzieci małych i dorastających z 4 rycinami (cena niżona) . . . . .	— 40
* <b>Stahl P. J.</b> , Przygody prawdziwe Tomcia Palucha, ozdobione 160. drzeworytami, po polsku i francusku (cena niżona) . . . . .	— 40
— <b>Zakład hrabiny Berty</b> , wydanie ozdobione 150. drzeworytami, po polsku i francusku (cena niżona) . . . . .	— 40
<b>Witowski Hipolit</b> , Szkołka powszednia dla młodzieży, dwa wielkie tomy z wieloma rycinami . . . . .	2 —

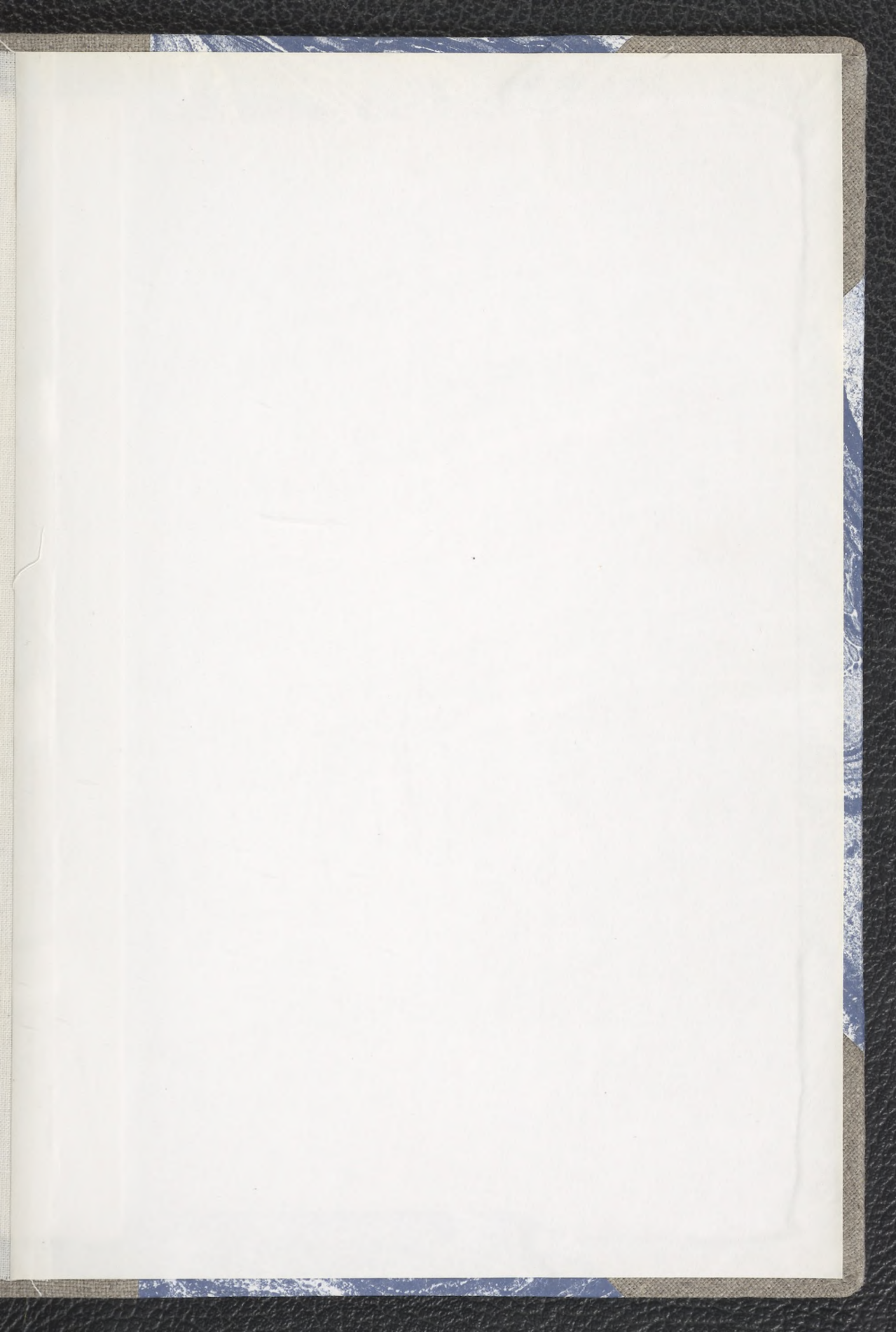


Ant. „Lamus”  
 W-wa 30.04.98  
 100 n

0









1416108

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020642240